

NUMER JUBILEUSZOWY

Spis treści

Wspólna inicjatywa po 30 latach <i>Od redakcji</i>	2
Nasza mała solidarność <i>Katarzyna Modrzejewska</i>	2
No i się potoczyło <i>Paweł Jędrzejewski</i>	3
Prawda nie istnieje. Postmodernistyczna historia najnowsza Polski <i>Jacek Kwaśniewski</i>	8
„Solidarność” po latach <i>Jerzy Drygalski</i>	11
Przyczyny, dla których jestem zawstydzona, gdy patrzę na Polskę <i>Małgorzata Kępczyńska</i>	18
Czy ktoś się tego spodziewał? <i>Jacek Jordan</i>	22
Złudzenia i fakty 1981-2011. Dwugłos pokoleń <i>Marek i Maciek Cypryk</i>	25
Widziane z Ameryki <i>Marek Zieliński</i>	28
Jak umocnić naszą przyjaźń i jeszcze na tym zarobić. Do przyjaciół z Redakcji <i>Jacek Kwaśniewski</i>	33
30 lat temu i dziś. Jak było, jak jest, co będzie? <i>Konrad W. Tatarowski</i>	35
Historia "Poglądów"	39
Przyszłość Polski - wersja optymistyczna. Ale zależy dla kogo... <i>Jacek Kwaśniewski</i>	45
O autorach	48

Wspólna inicjatywa po 30 latach

Od redakcji

Po 30 latach to samo grono prawie w całości postanowiło wrócić do wspólnej pracy. Na razie jest to jednorazowa akcja, przy okazji rocznicy 30-lecia wprowadzenia stanu wojennego. Ale niczego nie można wykluczyć, wszak nastąpią kolejne jubileusze.

Poglądy – pod tym mało oryginalnym tytułem - który nie pamiętamy już przez kogo został wymyślony – krył się biuletyn informacyjny łódzkich środowisk naukowych i akademickich. Od początku jednak mieliśmy większe ambicje, niż tylko informować. Chcieliśmy, i niektórzy z nas mieli po temu kompetencje, komentować wydarzenia, przedstawiać analizy sytuacji w kraju, prognozy na przyszłość, itp.

To, co wydaje nam się najbardziej godne podkreślenia, to fakt, że wspólna praca przez kilkanaście miesięcy spowodowała powstanie więzi na tyle trwałych, że mogło dojść do dzisiejszego spotkania, mimo, że nasze ścieżki życiowe rozeszły się dość daleko. A przecież byliśmy grupą przypadkowych młodych ludzi, właściwie nie znających się wcześniej. Co więcej, byliśmy ludźmi o różnych sympatiach politycznych i poglądach, od lewicowych do zdecydowanie prawicowych. Te różnice istniały już wówczas, a w obecnie prezentowanych tekstach uwidoczniły się może jeszcze wyraźniej. Mimo tych różnic potrafiliśmy ze sobą współpracować, darzyć sympatią i przyjaźnią. Obserwując dzisiejsze życie publiczne w Polsce, wydaje się to raczej niezwykle. To była właśnie magia tamtych dni. Bez Solidarności i panującej wówczas euforycznej atmosfery, nawet gdybyśmy się spotkali, prawdopodobnie nic między nami by nie zaiskrzyło.

Po co właściwie teraz piszemy? Przede wszystkim dla siebie, ale z nadzieją, że nasze artykuły dotrą i zainteresują też innych czytelników. Są tu analizy dotyczące współczesności, są nostalgiczne wspomnienia, są podsumowania minionych lat. Z niektórych tekstów przebija rozczarowanie, gorycz, pretensje do rzeczywistości. Inne kipią humorem i ironią. Jeszcze inne analizują “nowy wspaniały świat”. W tle pojawia się opinia, że odzyskanej wolności nie wykorzystaliśmy właściwie, a III RP nie spełniła oczekiwań i pokładanych nadziei. Jest to postawa bardzo w kraju powszechna (może z żalu za bezpowrotnie minioną młodością?). Nie do końca ją rozumiemy. Oto mamy wymarzoną wolność, kształtujemy swój los według własnych życzeń (oczywiście w ramach narzuconych przez zbiorowość) i wciąż nam mało? Czekamy na tę Prawdziwą Wolność i Sprawiedliwość, jak Żydzi na Mesjasza. No to pewnie sobie jeszcze poczekamy, jakby powiedział Shrek.

Może jesteśmy nazbyt przywiązani do naszych maksymalistycznych i niespełnionych oczekiwań? Może nie miały szans spełnić się w całości? Może nigdzie i w żadnych warunkach nie byłoby to możliwe? Co najmniej z jednego powodu: prawdopodobnie każdy z nas oczekiwał czegoś innego. A może czas dla nas się zatrzymał i nie umiemy już dostrzec, zrozumieć ani zaakceptować szybko zmieniającej się rzeczywistości?

Felietony w tym numerze Poglądów próbują odpowiedzieć również na te pytania. Zapraszamy do środka.



Nasza mała solidarność

Katarzyna Modrzejewska

To słowo zrobiło ogromną karierę. Od sierpniowych strajków nikt go już nie traktuje w czystym znaczeniu. Zyskało konotacje polityczne. Czasem budzi emocje i dobre i złe, choć już inne niż w poprzednim stuleciu. Ja sama na dźwięk słowa SOLIDARNOŚĆ odczuwam coś w rodzaju lekkiego "dreszczyku" i powracają obrazy z przeszłości.

Grono ludzi skupionych w redakcji "Poglądów" od razu wydało mi się "wyjątkowe" - o żywej, nieprzeciętnej inteligencji, dużej wrażliwości, wielkiej erudycji i poczuciu humoru. Dobór był chyba dość przypadkowy, acz lekko sterowany. Każdy, z wyjątkiem jednej osoby "znikąd", był przez kogoś innego wprowadzony, bo "nadawał się" do tej pracy, którą traktowaliśmy bardziej jak misję. Powstała kilkuosobowa grupka skupiona wokół tego samego celu. Korzystaliśmy z chwili wolności, wiedząc, że w każdym momencie może się ona skończyć, jednak wierzyliśmy, że potrwa długo, może nawet na tyle długo, by się zadomowić i zamieszkać na stałe w ówczesnym systemie. Pisaliśmy to, co według nas trzeba było wówczas mówić. Łączył nas entuzjazm i zaangażowanie. Nikt nie myślał o obaleniu ustroju (choć wszyscy tego pragnęli), raczej staraliśmy się wdrażać i chronić wywalczone przez "Solidarność" prawa i swobody, a także informować w nowej sytuacji, gdy reżim pękał w szwach. Uczyliśmy się demokracji i napawaliśmy symptomami wolności, nie wiedząc, jak daleko zostaną wyznaczone jej granice. Przecież wciąż trwał komunizm, wciąż władzę sprawowała PZPR i nic nie wskazywało na to, by z niej miała zrezygnować. Upajaliśmy się siłą 10 milionów członków "Solidarności" i chcieliśmy wierzyć, że tej siły nie zgniecie inna, większa. A gdy zgniotła, staraliśmy się przetrwać i pomagać sobie nawzajem, przede wszystkim psychicznie, nie poddawaliśmy się represjom i atomizacji. Do dziś pamiętam - wyjątkowe dla mnie - spotkanie w niecodziennej scenerii i zaskoczoną minę jednego z trzech internowanych Poglądowiczów, gdy na widzeniu w łowickim więzieniu, zamiast swej żony, ujrzał mnie... (Pozostał z tego ładny wiersz Radka Tatarowskiego).

Nikt z nas nie mógł wówczas przewidzieć, jak długo potrwa stan wojenny i jaką przybierze formę. Były też pożegnania zdecydowanych na emigrację. Nasza redakcyjna znajomość powoli przemieniała się w przyjaźń. Czwórka z nas wyjechała z Polski, lecz to nie zerwało redakcyjnych więzów. Za każdym razem, jak tylko było to możliwe, spotykaliśmy się, na ogół w niepełnym składzie. Rozmowy i dyskusje na tematy polityczne w "poglądowym" gronie były dla mnie cennym źródłem wiedzy o Polsce schyłku komunizmu i okresu transformacji. Każdy z nas wiódł własne życie i szedł swoją drogą, ale nadal łączyło nas zaangażowanie w to, co działo się w kraju i zawsze chętnie ze sobą przebywaliśmy.

Znajomości zawiera się przez całe życie, może niektóre z nich udaje się przekształcić w przyjaźń, lecz te z czasów młodości, szczególnie gdy poparte wspólnym działaniem w myśl ideałów, które nas związały, mają większą wartość. Nawet jeśli po latach różnimy się nieco poglądami, co - prawdopodobnie - ten numer specjalny pokaże. Naszej małej solidarności, która powstała po roku 80-tym, nie zniszczył ani stan wojenny, ani transformacja ustrojowa, jaką przeszła Polska, ani mała (lub większa) stabilizacja, której zapewne ulegliśmy, ani oddalenie geograficzne, ani przemijanie epok.

Gdy przez dłuższy czas nie docierają do mnie wieści o mych redakcyjnych znajomych, brakuje mi ich i szukam z nimi kontaktu. Lata lecą, lecz uczucia pozostają. Nawet jeśli brzmi to sentymentalnie. Uważam za duży sukces to, że "przeżyliśmy" jako nieformalna grupa aż 30 lat, że nadal się lubimy i przyjaźnimy. I chciałabym, aby tak pozostało na zawsze.


Jednego wszakże nie rozumiem - dlaczego nikt z naszego redakcyjnego grona nie uprawia w wolnej Polsce polityki? Każde społeczeństwo posiada taką klasę polityczną, na jaką zasługuje.... Żal jednak, że na naszej scenie politycznej prawie nie ma postaci dużego formatu.

Minęło już 30 lat....ale może nie jest jeszcze za późno ?

Ciekawe, do jakich partii zapisaliby się dziś ludzie z Poglądów. Zapewne do różnych.

A może nawet założyliby nowe ?

7 listopada 2011

 „Nasza mała solidarność” by Katarzyna Modrzejewska is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



No i się potoczyło

Paweł Jędrzejewski

Ponad rok temu przejeżdżałem latem przez Łowicz. Na rynku trwał akurat doroczny jarmark staroci. Wśród połamanych bagnetów z pierwszej wojny światowej, przedwojennych monet z wizerunkiem Marszałka, hełmów niemieckiej żandarmerii z czasów okupacji, odznak ORMO i płyt winylowych z nagraniami „Czerwonych gitar” leżało parę szlachetnie pożółkłych numerów „Poglądów”. 3 złote za sztukę. To wcale nie jest złe miejsce i podsumowanie naszej „poglądowej” historii – pomyślałem - i kupiłem wszystkie cztery egzemplarze. No bo co niby miałem zrobić? Przejść obok nich obojętnie? Nie po to przecież wydawaliśmy je wtedy, aby teraz, po 30 latach udawać, że nie mamy z nimi nic wspólnego.

...

Jeżeli mamy tutaj oceniać przemiany w Polsce, jakie nastąpiły w ostatnich dziesięcioleciach i dzisiejszą sytuację polityczną, to w tym momencie muszę spasować. Poza banałem, że Polska przeżywa w tempie przyspieszonym przemiany społeczne i kulturowe, które w zachodnich krajach europejskich dokonały się – na dobre i bardzo dobre, ale także na złe, a nawet bardzo złe – już dawniej, nie byłbym w stanie powiedzieć nic istotnego. Polska zmienia się, upodabnia do Zachodu i oczywiście to, co złe, jest - **jak zawsze - bardziej agresywne i bardziej przebojowe niż to, co dobre i wymagające wysiłku.** W dodatku Zachód akurat sam przeżywa teraz potężny i głęboki kryzys tożsamości. Nie czuję się jednak kompetentny, aby wypowiadać opinie na temat szczegółowych zagadnień politycznych dzisiejszej Polski.

Co natomiast mogę zrobić, to powspominać na temat moich ówczesnych motywacji, za co – rzecz jasna - z góry przepraszam, bo takie starcze wspomnianie jest czynnością z natury mało estetyczną i jakby nieprzyzwoitą. Ale okazja jest jedyna w swoim rodzaju, więc nie mogę się powstrzymać.

Zacznę od tego, że z perspektywy ponad ćwierć wieku widzę nawet silniej niż wtedy, że wydawaliśmy pismo ambitne, ale, niestety, dość mało atrakcyjne, trudne w czytaniu, zarówno pod względem graficznym, jak i nazbyt wypełnione sążnistymi artykułami teoretycznymi, które bardziej przypominały referaty na sesje naukowe, niż manifesty rewolucyjne, mające zniszczyć tyranię. Ale byliśmy wszyscy bardzo młodzi i chyba nieco naiwnie wydawało nam się, że takie teksty są niezwykle potrzebne w okresie obalania starego systemu, a może nawet, że to właśnie one są wtedy najważniejsze. Najwyraźniej, jako zawodowi teoretycy, wierzyliśmy w potęgę długiego, skomplikowanego tekstu, przez który potwornie trudno przebrnąć, ale za to zawiera on ostateczne odpowiedzi na pytania, jak ma wyglądać świat. Poza tym, wychowani wśród – z jednej strony – tzw. nowomowy, a - z drugiej – języka aluzji i porozumiewawczych mrugnięć, a jednocześnie niezaprawieni w działalności opozycyjnej, nie wyzwoliliśmy się tak od razu z ich ograniczeń i niektóre nasze artykuły były, niestety, zbyt hermetyczne, chyba nawet na tle ówczesnej lokalnej konkurencji w dziedzinie „wolnej prasy”. „Poglądy” były bowiem jednym z trzech wydawanych wówczas w Łodzi opozycyjno-solidarnościowych biuletynów. Po prawej i „narodowej” (marynarki i krawaty) stronie była „Solidarność Ziemi Łódzkiej” redagowana z zacięciem przez Stefana Niesiołowskiego, Benedykta Czumę, braci Andrzeja i Rafała Terleckich, Małgorzatę Bartyzel i Andrzeja Woźnickiego. Po lewej i jakby „kosmopolitycznej” (luźne kurtki w kolorze khaki) – „Solidarność z Gdańskiem”, którą kierowali doświadczeni i pełni niesamowitej energii opozycjoniści - Tomasz Filipczak i Witold Sułkowski. My byliśmy – co nam trzeba policzyć na plus – pluralistycznym, rozważnym, pogłębionym, stonowanym, zdecydowanie nie ideologicznym, a więc raczej nieco nudnawym (a to na minus!) centrum. W światopoglądowych różnicach pomiędzy naszymi trzema redakcjami ukrywały się – dla nas wówczas w sposób niezauważalny - zarysy przyszłych ideowych podziałów w III Rzeczypospolitej.

W 1980 roku, gdy to wszystko się zaczynało, miałem 27 lat i mój syn, który obecnie jest o prawie 5 lat starszy niż ja wtedy, miał kilka miesięcy. Pamiętam, że kiedy się urodził, postanowiłem sobie, że zrobię wszystko, aby nie musiał żyć w systemie totalitarnym. Zarazem byłem przekonany, że ten system przetrwa i mnie, i jego, i nawet jego wnuki. Takie myślenie zdecydowanie wówczas dominowało. Od lat miałem świadomość, że życie w PRL nie jest prawdziwe, że żyjemy w duszącej fikcji ustanowionej przez komunistyczne państwo, gdzie nic nie jest autentyczne – nawet komuniści. Wynikało to, rzecz jasna, z przymusowego wprowadzania w życie naiwnych złudzeń teoretyków marksizmu, którzy w swojej pysze

nie uwzględniali złożoności świata i natury człowieka. Zresztą od czasów późnej podstawówki, a już na pewno od roku 1968, byłem przerażony myślą, że mógłbym dać się tu – w tym sztucznym, zakłamanym świecie - zamknąć na całe życie. Gdy Gomułka atakował w swoim ówczesnym przemówieniu marcowym „kosmopolitów”, poczułem od razu, że mówi jakby też o mnie. Od tamtego roku narastało we mnie duszące poczucie niesprawiedliwości i odczuwałem pierwsze objawy ustrojowej klaustrofobii, bo przecież gdzieś daleko trwał niedostępny, pełen nieskończonych możliwości, wielki i nieznan świat. Niedostępny, a więc wspaniała i stale obecny w wyobraźni.

Otarłem się już wtedy o ten świat i to radykalnie zmieniło moje postrzeganie PRL-u: w 1969 roku byłem w przez kilka tygodni w Londynie. Kontrast pomiędzy tamtym beatlesowskim Londynem a ówczesną Łodzią (jeżeli chcecie poczuć jej dawno zapomniany smak, to polecam dokument Krzysztofa Kiesłowskiego „Z miasta Łodzi” właśnie z tego 1969 roku - na YouTube) nie znajduje w dzisiejszym świecie chyba żadnych analogii. Był wstrząsem. Ponownie przekroczyłem granicę w połowie lat siedemdziesiątych, gdy jako student pracowałem w Szwecji. A gdy nie pracowałem – siedziałem całymi dniami w publicznej bibliotece w Sztokholmie i czytałem – numer po numerze – roczniki paryskiej „Kultury”. Kolejny wstrząs! Za dużo tlenu. A dokoła socjalistyczna, ale przecież kapitalistyczna Szwecja, która wydawała się wręcz nieludzko przyjazna, ufna, życzliwa, logiczna i racjonalna. Była porażającym doświadczeniem prawdziwej utopii. Zmieniającym na całe życie. Więc w nocy przychodziły do mnie klasyczne emigranckie sny – choć jeszcze nie byłem emigrantem – o tym, że jawa to tylko sen, a tak naprawdę jestem w Łodzi i nie dostałem, i nigdy w życiu nie dostanę paszportu. Takie klaustrofobiczne myślenie zostało ostatecznie wzmocnione w roku 1979 przez fakt, że dostałem totalną i bezterminową blokadę na paszport prywatny i służbowy.

Dla współczesnych trzydziestolatków, żyjących w Europie bez granic, to brzmi jak dziwaczna baśń, ale chciałbym przypomnieć, że były to czasy, gdy np. w bibliotekach uniwersyteckich funkcjonowały działy „prohibitów”, czyli książek, które – na przykład „Dzienniki” Gombrowicza - można było czytać jedynie za – oficjalnie - zgodą władz uczelni, a – tak naprawdę – tajnej policji, oraz w których nie istniały publicznie dostępne nawet prymitywne kopiarki, bo sam pomysł, aby ktoś kopiował sobie to, co chce, stanowił zagrożenie dla komunistycznego państwa. Nic zaskakującego: jeżeli system opiera się na fikcji, to jakikolwiek tekst zawierający jakąkolwiek prawdę jest jego wrogiem.

Z tym zamknięciem nie mogłem się pogodzić. Postanowiłem, że gdy tylko pojawi się okazja, odegram się na systemie w sposób co prawda całkiem nieistotny dla niego, ale o życiowych konsekwencjach dla mnie – czyli kajakiem na Bornholm, lub w zamaskowanym schowku w wagonie towarowym do Austrii, wymknę się z klatki. Pamiętam, że traktowałem moje plany bardzo serio i np. wybrałem się na przejażdżkę po Bałtyku turystycznym promem „Rogalin”, aby przymierzyć się do wersji gumowego, nadmuchiwanego kajaka przemycanego ukradkiem na pokład.

Oczywiście, istniała już wówczas – po raz pierwszy za mojego życia – polityczna opozycja, ale trzeba było mieć wiele wyobraźni i dzikiej fantazji, aby wówczas uwierzyć, że Komitet Obrony Robotników, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela lub Ruch Młodej Polski mogą obalić PZPR z jego armią, tajną policją i poparciem Kremla.

Ludzi działających w tych miniaturowych organizacjach uważało się wówczas za szlachetnych, ale całkowicie oderwanych od ziemi idealistów, do których już należy moralne zwycięstwo, ale nie takie zwycięstwa liczą się przecież w historii. Jednak tkwiła w nich ta niesamowita siła etyczna, która robiła wielkie wrażenie – imponowali odrzuceniem pozorów: nazywali rzeczy po imieniu, uzyskiwali w ten sposób osobistą niezależność w systemie zniewolenia. Ta postawa zmieniała innych: powoli wyzwalala odwagę. Biuletyny KOR-u i publikacje NOWEJ można było bez trudu otrzymać np. od mojego instytutowego (Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ) i później redakcyjnego kolegi - Radka Tatarowskiego, a kolporterami byli także Tomasz Filipczak, Witold Sułkowski, Józef Śreniowski, Zbigniew Dominiak i inni.

Zacząłem wtedy żyć – trochę bardziej z konieczności niż przekonania - oczekiwaniem na kolejny poddmuch „wiatru historii”, na kolejną odsłonę w tym cyklicznym procesie. Bo za każdym razem po proteście następował okres pewnego poluzowania (w kulturze, w mediach i w tak zwanej „polityce paszportowej”) oraz ekonomicznego ożywienia na kredyt, a następnie dokręcania śruby i ekonomicznego regresu, co wywoływało kolejny protest.

W końcu lat siedemdziesiątych w powietrzu wyczuwało się też - wtedy uważałem, że dość irracjonalnie - iż to, co dotąd niemożliwe, stanie się możliwe. Lata siedemdziesiąte rozbudziły ekonomiczne apetyty, których niewydolna gospodarka nie była w stanie zaspokoić. Wmawiałem sobie, że komunistyczny system totalitarny opierał się przez powojenne dziesięciolecia w znacznej mierze na ludziach „przerażonych wojną”, na ludziach, dla których komunistyczne zniewolenie było czymś znacznie bardziej znośnym od doświadczeń okupacji niemieckiej oraz sowieckiej. I teraz, po 35 latach od zakończenia wojny, to pokolenie odchodziło i zastępowali je stopniowo ludzie urodzeni po wojnie, którzy oceniali rzeczywistość bez żadnych historycznych porównań i mogli zdobyć się na masowy protest, gdy system po raz kolejny zawiedzie ich ekonomicznie. Ta wymiana pokoleniowa miała mieć dla komunizmu zabójcze konsekwencje. A kluczem w tej nowej sytuacji był wciąż Gdańsk, gdzie ludzie mieli głębszą świadomość – to przecież portowe miasto – jak wygląda inny, czyli zachodni, kapitalistyczny świat, a robotnicy gigantycznej stoczni czuli – jak nikt inny - swoją siłę.

„Wiatr historii” zawiął nagle w sierpniu 1980 roku. To był przeciąg, który z Wybrzeża poszedł ostro przez cały polski barak w „obozie krajów realnego socjalizmu”. Wyrwałem się z mojego urlopu i pojechałem do Gdańska na samą końcówkę. Było oczywiste, że nastąpiło dawno oczekiwane „tąpnięcie”.

A potem przyszły miesiące, w których zapomniałem o mojej klaustrofobii. Nagle wszystko uległo zmianie. Miałem nadal świadomość, że ode mnie nie zależy absolutnie nic istotnego, ale jednocześnie po sierpniu 1980 roku bardzo aktualnie brzmiały powtarzane wtedy często słowa Miłosza z „Traktatu moralnego”:

*Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina biegnie od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, więc wpłynąć na bieg lawiny.*

Byłem jednym z wielu nieistotnych kamieni, a jednak ... Z mojego punktu widzenia, to właśnie wystarczało za główną motywację do zaangażowania się w wydawanie naszego biuletynu. Wpływanie na bieg lawiny „z pozycji kamienia”. Nie chciałem w żaden sposób deprecjonować po latach naszej działalności, ale chyba mieliśmy wszyscy świadomość, że jesteśmy, w naszej mikroskopijnej łupince, którą były „Poglądy”, niesieni na wysokiej fali i jest to taki moment w historii, że cokolwiek tam zamieścimy, cokolwiek napiszemy – będzie czytane i podawane następnym, bo właśnie odbywa się publiczne ogłaszanie, że zniechęcony król jest nagi i nikt nie chce przegapić ani sekundy z tej niezwyklej chwili. „Poglądy” były dziennikarsko raczej mało efektowne, ale czasy dawały skrzydła wszystkim, co się wtedy działo, a szczególnie pisanemu słowu, w tym także naszemu.

Jednak bardziej niż pismo, była to przede wszystkim grupa kilkunastu znakomitych – w takim ludzkim, a nie akurat dziennikarskim sensie - osób, które zostały zjednoczone niezwykle atmosferą historycznego momentu, doświadczanego wspólnie i z pełną świadomością. Prawie że współczują pokoleniom, które tego nie przeżyły. Mam na myśli także trwające kilkanaście miesięcy poczucie oszołomienia wolnością. Ale do tego nie wystarcza być wolnym. Do tego trzeba koniecznie najpierw wolnym n i e b y ć. Nasza wspólna działalność w tamtym okresie nie była w najmniejszym stopniu żadną „walką” i żadnym „pokonywaniem trudności” (a pamiętajmy, że dla wielu innych odbywało się to całkiem inaczej, często brutalnie, nawet z narażeniem życia) – to były po prostu świetne rozmowy, ciągle spotkania, jednoczący nas entuzjazm, wspólne poczucie nagłego wyswobodzenia z peerelowskiego zakłamania, stałe oszołomienie prostym faktem, że inni widzą także to, o czym nikt dotąd tak otwarcie nie mówił, świadomość uczestniczenia w największym w naszym życiu zawirowaniu historii – przez cały ten niezwykle rok, o którym chciałoby się powiedzieć, że - parafrazując Mickiewicza - „tylko jeden taki rok miałem w życiu”, gdyby nie nadmierny patos takiego stwierdzenia. System, w którym żyliśmy, był tak zdecydowanie pozbawiony sensu, tak przeciwny rozumowi, że działalność przeciwko niemu, nawet gdy oparta o wiele silniej na emocjach, niż na logice – wydawała się logiczna i celowa. Jest całkiem oczywiste, że nie robiliśmy niczego szczególnie ważnego, nie dokonaliśmy niczego istotnego, ale niezwykłość tamtego czasu dawała nam nieznaną dotąd poczucie sensu naszych działań. **Bez nas i bez „Poglądów” wszystko wyglądałoby przecież dokładnie**

tak samo, ale jednocześnie bez wszystkich takich jak my wówczas, nic nie uległoby żadnej zmianie. To właśnie rola tych „kamieni”, po których „toczy się lawina”.

Zapamiętałem ten rok jako czas zawieszenia dotychczasowego życia, czas wielkich tłumów ludzkich (wyjazd na odsłonięcie pomnika przed stoczną gdańską w grudniu 80 roku, wyjazd na rocznicę Poznania 56 w czerwcu 81), gigantycznych przestrzeni, załatwiania w pędzie jakichś niezwykle – wydawało się wtedy - ważnych spraw i ogromnych oczekiwań na coś, czego nikt nie umiałby zdefiniować – mówiło się po prostu, że to musi „się przewalić”. Po dekadach stagnacji, czuło się wyraźnie w powietrzu smak historii. Niepowtarzalne uczucie! Jednak chyba nikt nie miał sprecyzowanej wizji, na czym to „przewalenie się” miałoby polegać. Chodziło więc o maksymalne wykorzystanie tej wyjątkowej chwili, aby wspólnie wyrazić głośno i jednoznacznie zbiorową niezgodę na wszystko to, co było charakterystyczne dla systemu totalitarnego. Trzeba się było spieszyć, bo jednocześnie w tle ciągle brzmiało klasyczne od 1956 roku w takich sytuacjach pytanie: „wejdą, czy nie wejdą?”.

Pamiętam, że od marca 81 roku (*‘wydarzenia [nowomowa!] bydgoskie’*, groźba generalnego strajku, który został odwołany), nastąpiła dość istotna zmiana – nie wiem, czy w naszym, ale na pewno w moim myśleniu. Oczekiwania na to, że „się przewali” były jakby coraz bardziej jałowe. No bo niby co miało się stać? Naturalny pęd w nieznaną ulegał bolesnemu wyhamowaniu. Rozgrzane do czerwoności nadzieje milionów ludzi z jednej strony, z drugiej – jak komuniści mieli oddać władzę, skoro dostali ją z Kremla i tylko tam mogły być podejmowane rzeczywiste decyzje? A na Kremlu rządzą jeszcze „starcy” ukształtowani w czasach stalinowskich, których bogiem była gospodarka centralnie planowana. Natomiast bez odejścia od gospodarki scentralizowanej i planowanej oraz bez wolnego rynku, tkwiłszy trwale w systemowej pułapce ekonomicznej stagnacji. Koło wydawało się być zamknięte.

Wspominam nocną rozmowę z Markiem Cyprykiem, chyba w czerwcu 81 roku, gdy siedząc w deszczową noc w małym fiacie i paląc extra mocnego za extra mocnym (a może to tylko ja je paliłem?) do świtu spiraliśmy się o to, co nastąpi. Byłem pesymistą: uważałem, że sprawy dojrzały do konfrontacji i opcją totalitarnej władzy będzie „stan wyjątkowy”. Pojęcie „stan wojenny” chyba wtedy w ogóle nie istniało, co najmniej w naszych rozmowach. Marek był niezachwianym optymistą i stanowczo przewidywał rozpad komunizmu.

Nie rozmawialiśmy jednak o datach. Okazało się więc, że obaj mieliśmy rację. Tyle że ja na krótko – zaledwie na osiem lat, które przeżyłem już na innym kontynencie, korzystając z poluzowania w „polityce paszportowej” i wyjeżdżając z Polski we wrześniu 81 roku, a ostatecznie rezygnując z myśli o powrocie po 3 miesiącach - 13 grudnia, w dzień ogłoszenia stanu wojennego. Pamiętam, że osiem lat później wiadomość o powstaniu rządu z Tadeuszem Mazowieckim jako premierem we wrześniu 1989 roku zastała mnie na jakiejś egzotycznej wyspie na Karaibach. Gdy w lokalnej gazecie zobaczyłem oczekiwany od zawsze – choć nie w tym języku – nagłówek: „Fin del comunismo en Polonia”, moją pierwszą myślą było, że od tej chwili to już tylko Marek ma rację. Ci, na których opierał się komunistyczny totalitaryzm (w Polsce, ale także za moment od Władywostoku do Berlina Wschodniego), stracili wolę walki o obce im już ideały przegranej sprawy i też woleli bogacić się w nadchodzącym nowym porządku ekonomicznym i politycznym. W dodatku, masowo wymierali wtedy w całym „bloku” ci najbardziej wierni systemowi - ideowi starcy, „wierchuszka”, czyli urodzeni w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku. A młodszymi kierowały już zupełnie inne, nowe emocje.

Emigracja i ten daleki świat, na który tak wtedy liczyłem, nie zawiodły moich oczekiwań: po wędrowce po Europie i ostatecznym zakotwiczeniu się w Kalifornii, przez dwadzieścia długich lat doświadczałem w swoim życiu całkiem innego, drugiego życia – z nowym językiem, nowym kodem kulturowym, nowymi ludźmi, wykonywanymi zawodami, o których nigdy bym nawet nie śnił w PRL-u, podróżami, studiami, pasjami. Obecnie, od dziesięciu lat, przeżywam trzecią odsłonę: nie mieszkam już w Kalifornii, ani w Polsce, ani gdziekolwiek indziej. Jestem tam, gdzie akurat chcę być. Przelot znad Pacyfiku nad Bałtyk zajmuje nie wiele więcej czasu niż niegdyś podróż słynnym pociągiem osobowym na trasie Elk-Zakopane, a – w przeciwieństwie do tamtego pociągu – w samolocie zawsze ma się miejsce siedzące, więc w czym problem? Natomiast Internet umożliwia nam wszystkim kontakt z ludźmi na innych kontynentach w każdej chwili i w ułamku sekundy. Umożliwia nawet wydanie tego numeru „Poglądów” po trzydziestu latach.

Jakże wzruszająco archaiczni byliśmy – z dzisiejszego punktu widzenia – z naszym biuletynem, do którego teksty pisaliśmy na nawet nie elektrycznych maszynach do pisania, ale na ręcznych, takich naprawdę XIX-wiecznych; nagłówki preparowaliśmy używając tzw. letrasetów (prymitywna technika kalkomanii); wywiady nagrywaliśmy na taśmowych „miniaturowych” magnetofonach o wymiarach pudełka do butów; nakład biuletynu przewoziliśmy z drukarni fiatem 126p. O pecetach oczywiście nikt jeszcze nawet nie słyszał, a nasz redakcyjny telefon w siedzibie „Solidarności” nie miał nawet najbardziej prymitywnej automatycznej sekretarki.

Dziś, po ponad 30 latach od tamtych miesięcy 80 i 81 roku, zastanawiam się, jak komunizm w Europie (ale najwyraźniej nie w Chinach, na co zwrócił mi uwagę Marek Cypryk!) mógłby – gdyby nie było Sierpnia, Solidarności, Gorbaczowa z pierestrojką, Reagana z programem „Gwiezdných Wojen” i Jana Pawła II – przetrwać gigantyczne przemiany, które miały wkrótce nadejść dzięki wynalazkom zmieniającym świat (wynalazki działają nie mniej silnie niż idee!). Mam na myśli Internet (a z nim Google, Facebook i Twitter), telefon komórkowy i telewizję satelitarną oraz kablową. Bo przecież komunistyczny totalitaryzm opierał swoje trwanie w znacznej mierze na blokadzie informacji.

Nie! Nie przetrwałby!

Dobrze więc, że „zdążyliśmy obalić komunizm”, nim zniszczyły go nadchodzący postęp technologii i tsunami rewolucji informatycznej. Była to nasza pierwsza, ale zarazem – jak można przypuszczać - i ostatnia szansa.

P.S.

Po trzydziestu latach od czasu, gdy redagowaliśmy „Poglądy”, odkrywamy, pisząc teksty do tego jubileuszowego numeru, że nasze oceny współczesności bardzo mocno się różnią. Jednak znacznie istotniejszym dla nas odkryciem po latach jest przekonanie się, że te różnice w **naszych poglądach** nie zmieniają absolutnie niczego w **naszej przyjaźni**.

Los Angeles, listopad 2011.



„Po trzydziestu latach” by Paweł Jędrzejewski is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-nc/3.0/). W oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Prawda nie istnieje. Postmodernistyczna historia najnowsza Polski

Jacek Kwaśniewski

<http://jacek.kwasniewski.eu.org>

Jak wiadomo, postmodernizm kwestionuje istnienie prawdy obiektywnej. Rzeczywistość nie jest opisywana, ale konstruowana ex-post. Jeśli dominuje jakiś sposób myślenia, także o historii najnowszej – jest to efekt zabiegów władczych, dokonanych przez zwycięzców, którzy wykluczają pewne możliwości z obszaru myśli i dekretują inne.

Jako postmodernista odrzucam próbę narzucenia komukolwiek czegokolwiek. Prawdy nie ma. Są tylko alternatywne wersje historii. Przedstawiam dwie z nich. Czytelnik, który do postmodernizmu jest nastawiony krytycznie, może jednak zamazać tę wersję (lub jej fragmenty), którą uzna za błędną, nieprawdziwą, stroniczą, ośmieszającą lub haniebną.

Należy być jednak świadomym, że zamazanie, wykreślenie lub wyrzucenie którejkolwiek wersji jest działaniem stricte politycznym. Powiem o tym kilka słów na zakończenie.

Wersja A

Mówiąc najkrócej, po roku 1989 Polska wróciła do grona państw Zachodu, odzyskała pełną suwerenność i stała się państwem demokratycznym.

Wszystko zaczęło się od tego, że w roku 1989 komunistyczne władze i Solidarność przystąpiły do rozmów przy tak zwanym Okrągłym Stole.

Ich przedmiotem było wypracowanie scenariusza pokojowego przekazania części władzy (jak wówczas sądzili komuniści) i osiągnięcie porozumienia co do reform gospodarczych. Rozmowy mogły się zacząć, gdyż sytuacja gospodarcza Polski była tragiczna, opozycja dobrze zorganizowana i nastawiona na przemiany pokojowe, a w ZSRR trwała nie mająca precedensu odwilż polityczna.

Rozmowy toczyły się w Warszawie i w Magdalence.

Obradom Okrągłego Stołu przewodniczył po stronie opozycji Lech Wałęsa, a po stronie rządowej Czesław Kiszczak.

Najważniejszym z perspektywy lat skutkiem Okrągłego Stołu było przeprowadzenie częściowo demokratycznych wyborów do Sejmu, w których strona społeczno-solidarnościowa miała prawo i faktycznie obsadziła 35% miejsc i w pełni demokratycznych wyborów do Senatu, w których opozycja wygrała praktycznie wszystko.

Powołanie w roku 1989 tak zwanego kontraktowego Sejmu miało istotne konsekwencje. Zapoczątkowany został szybki proces przejmowania władzy od partii komunistycznej przez upodmiotowione politycznie społeczeństwo.

Wersja B

Mówiąc najkrócej, po roku 1989 Polska komunistyczna zamieniła się w postkomunistyczną III Rzeczpospolitą. Nasz kraj nie odzyskał suwerenności, gdyż centrum decyzyjne przeniosło się z Moskwy do Brukseli. W przyspieszonym tempie tracimy swą tożsamość historyczną, gdyż wartości narodowo-chrześcijańskie są zastępowane kosmopolitycznym laicyzmem zachodnioeuropejskim. Polska nie stała się też państwem naprawdę demokratycznym, bo dyktatura partii zamieniła się w dyktaturę wielkiego kapitału, który kontroluje polską gospodarkę a poprzez media – umysły Polaków.

Wszystko zaczęło się od tego, że w roku 1989 komunistyczne władze, lewicowa pseudoopozycja oraz sterowana przez SB część elit Solidarności rozpoczęły pozorowane rokowania.

Ich przedmiotem było podzielenie się władzą między komunistami a lewicową pseudo-opozycją pod chwytliwym hasłem demokracji. Rozmowy mogły się zacząć, bo prawdziwa opozycja, prawicowo-narodowa, została na mocy cichego porozumienia wykluczona z rozmów i nic nie stało na przeszkodzie, by ułożyć się we własnym gronie.

Rozmowy toczyły się w siedzibach komunistycznych władz w Warszawie i w centrum konferencyjnym MO i SB w Magdalence.

Obradom Okrągłego Stołu przewodniczył po stronie tak zwanej opozycji agent bezpieczeństwa TW Bolek (formalnie Lech Wałęsa), a po stronie agentury sowieckiej (formalnie polskiego rządu) zwierzchnik TW Bolka, Czesław Kiszczak.

Najważniejszym z perspektywy lat skutkiem Okrągłego Stołu była kapitulacyjna zgoda lewicowej pseudo opozycji i sterowanej przez SB agentury w Solidarności na pozorowanie demokratycznych wyborów. Zamiast skończyć z komunistyczną władzą, naród dostał namiastkę demokracji a komuniści czas, by jak najlepiej się urządzić przed oddaniem reszty władzy.

Powołanie w roku 1989 tak zwanego kontraktowego Sejmu miało istotne konsekwencje. Celowo opóźniono odebranie władzy komunistom, którzy za wyprane partyjne fundusze wykupili w tym czasie za bezcen najlepsze polskie firmy i usadowili się na strategicznych stanowiskach w gospodarce,

Pierwszym premierem po wyborach w roku 1989 został przedstawiciel opozycji Tadeusz Mazowiecki, w którego rządzie Leszek Balcerowicz zainicjował i przeprowadził z sukcesem rynkową transformację polskiej gospodarki. Nasza gospodarka ze stanu zapaści stała się, w ciągu następnych kilkunastu lat, najszybciej i najgłębiej przekształconą ze wszystkich krajów postkomunistycznych.

W ciągu dwudziestu lat polska gospodarka została sprywatyzowana, unowocześniona i stała się konkurencyjna. Jest nakierowana na realizację zgłaszanego popytu, a nie mrzonek planistów. Oferta rynkowa, poziom konsumpcji i jakość życia są nieporównywalne z tym, co może zapewnić gospodarka sterowana odgórnie. Szybkie tempo naszego wzrostu, na tle innych krajów europejskich, daje nadzieję na dogonienie w perspektywie pokolenia poziomu życia Europy Zachodniej.

Polska jest obecnie państwem demokratycznym oraz szanowanym i cenionym członkiem Unii Europejskiej.

Kościół katolicki od roku 1989 posiada pełną swobodą działania, ma na mocy konkordatu uregulowane z państwem stosunki, procesy laicyzacji przebiegają w Polsce wolniej niż na Zachodzie. Kościół odzyskał dużą część zagrabionej przez komunistów własności a część jego działalności (m.in. nauczanie religii) jest finansowana przez państwo. Istnieją także zjawiska niepokojące, jak działalność Radia Maryja, które obok docierania z ewangelizacją do ponad miliona słuchaczy, angażuje się silnie w działalność polityczną i propagandową, nie mającą związku z misją Kościoła. Radio Maryja promuje partie prawicowe i udziela na antenie głosu przedstawicielom skrajnych poglądów, m.in. antysemitów.

Wybory prezydenckie w roku 2010 dowiodły, że znacząco większym poparciem cieszy się Bronisław Komorowski niż jego konkurent do fotela prezydenckiego, Jarosław Kaczyński. Wygrana Komorowskiego była przez wielu komentatorów tłumaczona obawami wyborców przed powtórzeniem konfliktu na linii prezydent – rząd, którego Polska doświadczyła, gdy prezydentem był brat

administracji, dyplomacji, kulturze, bezpieczeństwie i wojsku.

Pierwszym premierem po wyborach w roku 1989 został przedstawiciel tak zwanej lewicy katolickiej, Tadeusz Mazowiecki, dawny poseł w komunistycznym Sejmie PRL, który nie licząc się z ubóstwem polskich rodzin, zgodził się na przeprowadzenie drastycznych, ultraliberalnych „reform” ekonomicznych. Przyniosły one nagły spadek poziomu życia milionów Polaków.

W ciągu dwudziestu lat polska gospodarka została rozkradziona pod hasłem prywatyzacji, odebrała pracę milionom ludzi wypychając ich na margines bezrobocia i przeszła na własność obcego kapitału, w tym także żydowskiego. Polacy emigrują za chlebem, jak w XIX wieku. Rynek oferuje towary albo tanie i złej jakości albo dostępne tylko dla bogatych. Schlebia najniższemu gustom. Utrwała różnice i podziały.

Polska jest obecnie państwem tylko z pozoru demokratycznym, a w polityce zagranicznej pozostaje uległa wpływom Brukseli oraz naciskom rosyjskim i niemieckim.

Kościół katolicki od roku 1989 jest przedmiotem ciągłych ataków środowisk liberalnych, lewicowych i antykościelnych. Kwestionowane jest coraz silniej jego prawo do prowadzenia w społeczeństwie misji ewangelizacyjnej, na przykład w szkołach. Ponawiane są próby pozbawienia Kościoła jego własności i wyeliminowania z go przestrzeni publicznej. W czasie wyborów Kościół „ma milczeć”, krzyż zaczyna „godzić w świecki charakter państwa”, a ustawy zezwalające na zabijanie nienarodzonych „są polskim prawem a nie sprawą Kościoła”. Szczególnie silnym atakom podlegają wartości chrześcijańskie, narodowa tradycja katolicka, a także rozgłośnia Radio Maryja, która odniosła nie mający precedensu sukces rynkowy, mimo, że nie posiada finansowego zaplecza wielkiego kapitału.

Wybory prezydenckie w roku 2010 dowiodły, że zmasowany atak na Jarosława Kaczyńskiego przez media, będące własnością wielkiego kapitału, polskiego i zagranicznego, może wypaczyć faktyczne preferencje Polaków. Filtrowanie informacji, zniekształcanie obrazu świata i zablokowanie dostępu do wielu istotnych danych sprawiły, że Polacy nie byli w tym stanie rzeczy podejmować racjonalnych decyzji. Tak należy rozumieć

Jarosława Kaczyńskiego – Lech Kaczyński.

Twierdzenie o zamachu, jako przyczynie katastrofy prezydenckiego TU-154 nie jest oparte na żadnych faktach, znanych Komisji badającej przyczyny tej katastrofy.

Na polskiej scenie politycznej dominują dwie wielkie partie: Platforma Obywatelska, która jesienią 2011 roku wygrała po raz drugi z rządu wybory parlamentarne oraz Prawo i Sprawiedliwość – druga, pod względem poparcia społecznego partia, kolejny raz pozostająca w opozycji. Wygrana PO jest społecznym mandatem za kontynuacją, przegrana PiS – oznaką braku zaufania do zdolności tej partii w zarządzaniu Polską czasu kryzysu.

wypowiedź prezesa PiS-u, że wybór Bronisława Komorowskiego na prezydenta był przypadkiem.

Twierdzenie o zamachu, jako przyczynie katastrofy prezydenckiego TU-154 jest hipotezą, którą w obliczu wielu lekceważonych przez Komisję Millera faktów, należy bardzo poważnie i ponownie rozważyć, tym razem po powołaniu naprawdę niezależnej komisji, najlepiej o międzynarodowym składzie, ale z wyłączeniem ekspertów niemieckich. Odrzucane i wyśmiewane przez rządowych „specjalistów” hipotezy, także te kontrowersyjne (np. o rozpylonym helu, bombie termobarycznej, czy dobijaniu pasażerów) muszą w końcu stać się przedmiotem publicznej dyskusji na forum Sejmu, Komisji Europejskiej a jeśli trzeba – także na forum ONZ.

Na polskiej scenie politycznej dominują dwie wielkie partie. Pierwszą jest Prawo i Sprawiedliwość – partia, której wyborcami są często ludzie biedniejsi, słabsi, wykluczeni, pozbawieni wykształcenia i towarzyskiej oglądy. Ludzie spoza wielkich miast, rozgoryczeni brakiem sprawiedliwości i rozczarowani Polską, która sprzyja bogatym. PiS jest wyraźnie szykanowany w mediach z racji mówienia jasno i wyraźnie o rządzących Polską układach i klikach oraz o powiązaniach kapitałowo-towarzyskich polityków i biznesmenów. Drugą partią, która wygrała ostatnie wybory parlamentarne jest Platforma Obywatelska – ciesząca się poparciem biznesmenów, ludzi zamożnych, wykształconych, a także wielkiego kapitału, partia, której sprzyjają media i międzynarodowe elity polityczne oraz ekonomiczne. PO jest partią mającą największe fundusze, te oficjalne i nieoficjalne, które skutecznie wykorzystuje w reklamowaniu siebie i oczernianiu PiSu.

Po tej równoległej lekturze sprzecznych wersji historii, chciałbym przestrzec niepostmodernistów przed pośpiesznym wyrokowaniem, która jest właściwa. Po pierwsze, przed nazywaniem wersji A – obiektywną, a wersji B – stronniczą.

Z punktu widzenia postmodernizmu terminy „obiektywny opis” i „opis stronniczy” to jedynie gry językowe na wystraszenie lub skompromitowanie oponentów a de facto - zabieg władczy, mający uniemożliwić zakwestionowanie „opisu obiektywnego” pod groźbą śmieszności i wykluczenia z poważnego dyskursu. Są to oczywiście chwytliwe nieuczciwe, bo o kryteriach „obiektywizmu” nie decydują bezstronni, obiektywni arbitrzy, bo tacy nie istnieją, ale wyselekcjonowani intelektualisci. To ci, którzy dominują w przestrzeni publicznej (szkoły wyższe, media), bo respektują interesy dominujących elit ekonomicznych i politycznych.

Krytyka pseudo-obiektywizmu wersji A nie oznacza, że lepsza jest wersja B. Jest to również wybiórcza selekcja faktów historycznych, ale nie udaje obiektywizmu, bo jest nieskrywanym narzędziem walki. Kreśli obraz kłęski, za którą jest winny wróg, którego należy zniszczyć, aby nadeszło Dobro. Eksponuje negatywne emocje i jej funkcją jest raczej mobilizacja oddziałów aniżeli opis rzeczywistości.

Dla zdezorientowanych tymi wyjaśnieniami nie mam pocieszenia. Każdy wybór jest wyborem politycznym. Albo po stronie elit broniących władzy albo po stronie elit, które chcą władzę przechwycić. Wybierając zostajecie wciągnięci w grę nie swoich interesów. Chyba że sami należycie do którejś z elit.

Prawa autorskie artykułu „Prawda nie istnieje. Postmodernistyczna historia najnowsza Polski”, autor Jacek Kwaśniewski są zastrzeżone. Wszelkie rozpowszechnianie lub powielanie na jakichkolwiek polach dystrybucji wymaga zgody autora. Kontakt z Jackiem Kwaśniewskim pod adresem mailowym: jacek952@gmail.com



„Solidarność” po latach

Jerzy Drygalski

Kiedy cofam czas i wspominam „Solidarność” lat 1980-81, nasuwają się obrazy skrajnych emocji: entuzjazmu, nadziei i obaw, uniesień i – wcale nie tak rzadko - łez tysięcy strajkujących lub wiecujących pracowników, ludzi zebranych na trasie papieskiej pielgrzymki, demonstrantów na ulicach miast. Pamiętam też obrazy zatłoczonych i zadymionych sal związkowych, gorączkowych narad, twardej negocjacji, niekończących się rozmów w domach i zakładach pracy. Ale pamiętam także spory i konflikty, niektóre z nich brzydkie i niepotrzebne, które targwały Związkiem i w okresie legalnej działalności i w stanie wojennym. Było to doświadczenie w moim życiu wyjątkowe. Nigdy czegoś takiego, ani przedtem, ani potem już nie doświadczyłem. W 1980 roku „Solidarność” była dla mnie powiewem wolności i prawdy. Dziś – w czasach twardej i trzymającej się ziemi polityki - brzmi to niestety patetycznie. Z drugiej strony była to także lekcja realnej polityki. Niemal każdy dzień przynosił nowe wydarzenia i nowe napięcia, które złościły, budziły sprzeciw, pobudzały do oporu i które na gorąco komentowałem i w domu i w swoim środowisku. Wieczorem z uchem przy radiu słuchałem najnowszych komentarzy RWE i BBC, usiłując wychwycić sens z zanikających i zagłuszanych audycji. Żartowałem, że żyję w stanie podgorączkowym. Na rozwój wypadków patrzyłem jednak chłodno. Wielkich nadziei nie miałem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Polska może w jakiejś wyobraźalnej perspektywie być krajem niepodległym, członkiem UE i NATO, że znikną granice i że będę miał w szufladzie paszport itd. Wyobraźnia całkowicie mnie zawiodła. Pewnie czytałem zbyt wiele książek. Dziś pocieszam się, że myliłem się nie tylko ja. Zawiodły i zachodnie instytuty naukowe, sowietolodzy i politolodzy. Jest to dobitny przykład złudzeń, jakie przynoszą nauki społeczne. Po latach ten nastrój lat 1980-81 trudno jest opisać i to tym trudniej im bardziej kontrastuje on z obecnymi głębokimi konfliktami i podziałami.

Potem nastąpiła przejmująca cisza stanu wojennego. Dawny entuzjazm zniknął. Nastroje były wręcz podłe. W społeczeństwie narastały zniechęcenie i apatia. Ludzie zajęli się swoimi sprawami. Opór słabł z roku na rok. Jednakże słabła i władza. Reformy ugrzęzły. Świat uciekał. Mityczny już „okrągły stół” był wyrazem słabości obu stron. W wolnej Polsce „Solidarność” stała się częścią narodowej mitologii i politycznego skansenu idei. Jeśli dziś politycy nawiązują do tamtych czasów to raczej instrumentalnie, po to by budować własną polityczną pozycję i pogrążyć oponentów, wpleść kilka zdawkowych słów w okolicznościowe przemówienie, albo zaciekle dowodzić swoich racji. Inni, jeśli w ogóle „Solidarność” wspominają, to z rzadka i sentymentalnie. Nieliczni spisują wspomnienia. Losy „Solidarność” także nie są budujące – Związek stał się egoistyczną grupą nacisku wyszarpującą wszystko, co da się wyszarpać.

Dlaczego „Solidarność” realnie tak niewiele dziś znaczy? Pewnie niewiele osób takie pytanie w ogóle stawia. Bo i po co? Inne są już czasy i inne problemy. Zaryzykuję odpowiedź – dzieje się tak, gdyż między „Solidarnością”, a III RP nie ma ciągłości, ani politycznej, ani instytucjonalnej, ani nawet ciągłości wartości. III RP rodziła się obok, równoległe i niezależnie od „Solidarności”. Związek przyspieszył upadek PRL, rozsadzał go od wewnątrz i w końcu walenie przyczynił się do pokojowego przekazania władzy. Powstająca na gruzach PRL-u III RP sięgnęła jednak do innych wartości i idei – zachodniej demokracji, gospodarki rynkowej, praw własności. „Solidarność” powstała w PRL-u i była reakcją na wynaturzenia tego systemu - zakłamanie, nachalną propagandę, cenzurę, niespełnione nadzieje i ciężkie warunki życia. „Solidarność” była „dzieckiem” PRL-u. III RP zaś jego zaprzeczeniem.

Żeby to wyjaśnić, muszę cofnąć się do genezy ruchu protestu, jakim była „Solidarność”. W latach 70-tych wspólnie z Jackiem Kwaśniewskim próbowałem zrozumieć, dlaczego PRL jest tak nieefektywnym, represyjnym i pełnym absurdów systemem. Socjalizm urągał przecież zdrowemu rozsądkowi. Po co np. władza utrzymuje fikcyjną samorządność, fikcyjne wybory do fikcyjnego parlamentu? I doszliśmy do wniosku, że „genetyczną” wadą tego systemu są jego fundamenty – wcielone w instytucje władzy i gospodarki utopijne założenie o istnieniu obiektywnej jedności interesów społeczeństwa. Co prawda Marks i Lenin aż nadto jasno dostrzegali, że realne społeczeństwo targane jest sprzecznościami i konfliktami i że postępowaniem ludzi kieruje nie altruizm, ale egoizm i klasowe interesy. Uważali jednak, że te sprzeczności są przejściowe i ustaną wtedy, kiedy zostanie zlikwidowana ich przyczyna – własność prywatna. A kiedy ustaną, to wyłoni się harmonijne społeczeństwo. Jak jednak rządzić w okresie przejściowym, kiedy te sprzeczności i konflikty nie zostały jeszcze wyeliminowane? W odpowiedzi Lenin sformułował ideę kierowniczej roli partii. Po przejęciu władzy bolszewicy wcielali ją w życie z żelazną konsekwencją. Kierownicza rola partii była jednak sprzeczna z artykulacją interesów rozmaitych grup społeczeństwa. Wymogiem utrzymania władzy była więc ich blokada. Inaczej wykształciłby się jakiś wariant ustroju demokratycznego. W ZSRR blokadę oddolnej artykulacji wykuwano terrorem, czystkami, przymusową pracą w łagrach, metodami społecznej manipulacji. Jednak ani w latach 30-tych, ani po XX Zjeździe komuniści nie zlikwidowali formalnie demokratycznych instytucji i procedur. Ze względów ideologicznych utrzymywali kosztowną fikcję. Po XX Zjeździe nastąpiła liberalizacja systemu. Ujawnienie i potępienie stalinowskich zbrodni ustabilizowało system, zapobiegło dalszym represjom i zapewniło elitom władzy ich fizyczne bezpieczeństwo. Z drugiej jednak strony liberalizacja osłabiła mechanizmy blokady artykulacji.

I tu dochodzimy do genezy „Solidarności”. Po 1956 roku terror i bezpośrednio, masowe represje zostały zastąpione przez skomplikowane, formalne mechanizmy instytucjonalne, wspomagane przez selektywne i bardziej „miękkie” działania SB i szerzej całego aparatu represji. Utrzymaniu tego systemu sprzyjała pamięć o represjach i świadomość zależności od ZSRR. Jednak w miarę upływu czasu system ten erodował. Jednym z ważnych tego powodów były zmiany w społecznej świadomości - stopniowy zanik pamięci o stalinowskim terrorze...

„Solidarność” tworzyli głównie ludzie młodzi, lepiej wykształceni, o rozbudzonych życiowych aspiracjach, którzy nie doświadczyli już stalinowskich represji i wychowali się w warunkach pokoju. Większość z nich nie miała nawet wiedzy, że represje takie istniały, co najwyżej powtarzali obiegowe, zasłyszane w domu klisze o Katyniu, polskim węglu sprzedawanym za bezcen Sowietom, itd. Cenzura przez dziesięciolecia skutecznie blokowała przecież jakiegokolwiek informacje na ten temat, wycinając całe płyty społecznej pamięci. Wstępujące w dorosłe życie nowe pokolenie niewiele więc wiedziało o rzeczywistym obliczu komunizmu. Dlatego w okresie „Solidarności” odkłamujące rzeczywistość książki robiły taką furorę. „Archipelag GULAG”, książki dysydentów, rewelacje Światły, audycje RWE były dynamitem, który system ten raz na zawsze naruszyły. Zestawienie humanistycznej frazeologii z faktami było dla wielu szokujące.

Ówczesną pamięć pokolenia „Solidarności” warto skonstrastować z pamięcią środowisk kombatanckich, w szczególności AK – z ich doświadczeniem przegranego powstania, stalinowskich represji i zbrodni, przebytych więzień, ale też i doświadczeniem „zdrady” Zachodu. Dlatego Ak-owcy w swych ocenach i radach byli bez porównania bardziej ostrożni i wstrzemięźliwi. Większość z nich nie wierzyła w zwycięstwo „S”, uważając za nieuchronne klęskę Związku i nowe represje .

Pokolenie „Solidarności” było także pokoleniem o rozbudzonych aspiracjach. Obejmując władzę Gierek obiecywał wiele i wielu wydawało się, że obietnic tych dotrzyma. Nowa ekipa uchyliła granice, rozpoczęła realizację spektakularnych inwestycji , kupowała technologie, obiecywała przyspieszoną budowę mieszkań, poprawę warunków życia, samochód dla każdej polskiej rodziny itd. Jakież to był kontrast z gomulkowskią „małą stabilizacją”! Gierek chciał zbliżyć kraj do Zachodu, jednak bez jego demokratyzacji, bez reform rynkowych i zmiany sojuszków. Była to sprzeczność sama w sobie. I wkrótce ujawniły się typowe dla tego systemu błędy, dysproporcje i bariery wzrostu. Rozdętych inwestycji i marnotrawstwa nie sposób było pogodzić z realnym i trwałym wzrostem poziomu życia. Jednym ze skutków było przyspieszenie inflacji i narastanie inflacyjnego nawisu, które dewastowały rynek, w tym i tak wrażliwy rynek mięsa i cukru. W 1976 roku doszło do drastycznych protestów. Potem było już tylko gorzej.

Aspiracje zostały jednak rozbudzone i dzięki „efektowi demonstracji” były dalej „nakręcane”. Przez uchylone granice bez porównania więcej Polaków, niż w latach 60-tych, zobaczyło jak ludzie żyją na Zachodzie, jak są zaopatrzone sklepy, jakimi samochodami jeżdżą tamtejsi obywatele, jak różnicowana i wolna jest prasa itd. I konfrontowało peerelowską propagandę z realiami. Efekt był druzgocący. Z punktu widzenia trwałości PRL-u Gierek popełnił niewybaczalny błąd. Gomułka odcinając kraj od Zachodu, propagując „małą stabilizację”, ciasne, z kuchniami bez okien, ale własne mieszkania, zajadłe atakując rzekome wynaturzenia Zachodu, skutecznie stłamsił marzenia i aspiracje. Gierek zaś aspiracje te rozbudził uruchamiając efekt „kuli śniegowej” i stając się więźniem własnych obietnic.

Rozbudzone aspiracje miały charakter głównie konsumpcyjny. Już wtedy rodził się załazek nowej klasy konsumentów. Poziom życia był co prawda niski. Większość Polaków borykała się nawet z codziennymi sprawami. Jednak część z nich zaczęła już się „dorabiać” i chciała się jeszcze bardziej „dorabiać”. Myślę, że gdyby Gierek obietnic dotrzymał, to do wybuchu „Solidarności” by nie doszło lub doszłoby znacznie później. W latach 70-tych, dla większości wchodzącego w życie pokolenia, wolne wybory, zniesienie cenzury, prawa człowieka itd. nie były czymś bardzo ważnym, w ogóle o tym nie rozmawiano, ani nawet nie marzono. Wydarzenia marcowe 1968 i inwazja na Czechosłowację wydawały się w świadomości większości społeczeństwa nie istnieć. W niektórych domach mówiło się co prawda o Katyniu, Piłsudskim, Powstaniu Warszawskim, ale niewiele z tego wynikało. Większość Polaków oczywiście nie lubiła Sowietów i obarczała ich winą za braki rynkowe i niski poziom życia itd., ale ta większość zdawała się być pogodzona z sowiecką dominacją. Ludzie praktycznie patrzyli na świat. A drogi kariery były określone. Warunkiem i ceną kariery była partyjna przynależność. Nie może zatem dziwić, że do PZPR należało ponad 2,5 mln osób. Ideologię niewielu traktowało poważnie. A jeszcze mniej ją znało i rozumiało.

Słynna lista 21 postulatów dobrze oddaje te aspiracje. Ekonomiczne i społeczne żądania strajkujących w Gdańsku stoczniovców były daleko idące: wzrost i indeksowanie płac, obniżenie wieku emerytalnego mężczyzn i kobiet, wolne soboty, skrócenie okresu oczekiwania na mieszkania, likwidacja tzw. starego portfela rent i emerytur, wprowadzenie 3-letniego płatnego urlopu macierzyńskiego, wzrost liczby miejsc w przedszkolach, poprawa opieki zdrowotnej, poprawa zaopatrzenia rynku i zniesienie eksportu żywności, likwidacja tzw. sprzedaży komercyjnej, wprowadzenie kartek na mięso i jego przetwory, a nawet zwiększenie diet za rozłękę. Władza zaakceptowała te żądania, dążąc do jak najszybszego zakończenia strajku i chcąc zyskać czas. Postulatów tych pewnie nie traktowała poważnie. Nie pamiętam też, aby ktokolwiek zastanawiał się nad ekonomicznymi konsekwencjami podpisanych porozumień i ich realnością. Porozumienie gdańskie wzbudziło następnie falę negocjacji płacowych w poszczególnych branżach. Z dzisiejszego punktu widzenia żądania te były radykalne. Niewątpliwie przekraczały one możliwości państwa. Z drugiej strony żądania strajkujących były zrozumiałe. Warunki życia nie były łatwe, skala absurdów, marnotrawstwa i nieudolności wołała o pomstę do nieba, zaś komunistyczna frazeologia doprowadzała do szewskiej pasji.

Jednak w czasie strajków żądania gwarancji politycznych przesłoniły żądania ekonomiczne. Strajkujący żądali powołania niezależnych od partii i pracodawców związków zawodowych, prawa do strajku, wolności słowa, druku i publikacji, zaprzestania represji, przywrócenia praw osobom represjonowanym w 1970 i 1976 roku, gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących, dostępu do środków przekazu. To były rewolucyjne postulaty. Z systemowego punktu widzenia oznaczało to odblokowanie oddolnej artykulacji, która jeśli nie została samoograniczona, wcześniej czy później, musiałby prowadzić do upadku władzy. Środowisko „Poglądów” miało tego świadomość. Mimo wszystko jednak naiwnie wierzyłem, że możliwe jest wypracowanie jakiegoś konsensusu i kompromisu systemowego. Teoretycznie można było sobie wyobrazić rozmaite ich warianty. Elity władzy nie były przygotowane, ani mentalnie, ani politycznie i ideologicznie do takiego rozwiązania. Podpisując porozumienia – ujawnione dokumenty nie pozostawiają dziś żadnych złudzeń - rządzący chcieli zyskać tylko czas. Już wczesną jesienią podjęta została decyzja o rozpoczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego. Z drugiej strony samoograniczenie „Solidarności” było także trudne, jeśli w ogóle możliwe. Związek był organizacją demokratyczną, podlegał zatem wszystkim napięciom i prawidłowościom z tym związanym. Polityczna rywalizacja i presja mas członkowskich nieuchronnie prowadziły do szybkiej żądań radykalizacji i to, w warunkach nieustających prowokacji, jątrzącej propagandy, inflacji i coraz większych braków rynkowych. Im zaś większa była radykalizacja, tym szanse samoograniczenia były bardziej iluzoryczne. Być może jakiś konsensus byłby możliwy, gdyby istniała wola władz i dobra sytuacja gospodarcza. Te warunki nie były jednak spełnione.

W sierpniu połączenie żądań ekonomicznych z politycznymi gwarancjami było nową jakością. Żądania takich gwarancji naturalne, gdyż w PRL każdy strajk, fala niezadowolenia, czy nawet list protestacyjny były traktowane jako wrogie, antysocjalistyczne wystąpienia. PZPR i SB reagowały histerycznie, eskalując represje i zwykle uciekając się do brutalnego użycia siły i obrzydliwych kampanii potępiających „wichrzycieli”. Strajkujący pamiętali o represjach w 1976 i 1970 roku. Z drugiej strony współpraca liderów strajków z opozycją i intelektualistami, prawnikami, wsparcie kościoła itd. umożliwiła sformułowanie żądań w języku polityki i ideologii, stwarzając przeciwwagę dla oficjalnej frazeologii i budując własną tożsamość ruchu.

Siłą „Solidarności” była jej związkowa formuła. Ideologicznie „Solidarność” wpisywała się w komunistyczną frazeologię i propagandę. Władza znalazła się w ideologicznej pułapce. Z samej istoty doktryny robotnicy nie mogli przecież podważać czy działać na szkodę robotniczego państwa. Teoretycznie Związek nie naruszał fundamentów ustrojowych. Konkretnie żądania strajkujących także były trudne do podważenia. Dlatego cały wysiłek PZPR i SB szedł więc w kierunku oddzielenia opozycji od Związku i w kierunku wpisania Związku w system – sprowadzenia „Solidarności” do roli jakiegoś wariantu CRZZ. Związkowa formuła „Solidarności” była także jej ograniczeniem i słabością, ponieważ Związek siłą rzeczy koncentrował się na obronie praw robotniczych i obronie poziomu życia. Nie było rolą Związku wypracowywanie programów naprawy gospodarki i państwa. Rolą „Solidarności” było natomiast domaganie się reform i poprawy warunków życia. I Związek to czynił. Z drugiej strony widząc brak postępu rozmów, opór i prowokacje władz, „Solidarność” radykalizowała się stopniowo łącząc żądania ekonomiczne z politycznymi i uczestnicząc w dyskusjach na temat reform państwa i gospodarki.

Dyskusje te nie przyniosły jednak jakichś przełomowych rezultatów, gdyż – pomijając teraz problem woli politycznej władzy - niemal wszyscy liczący się ekonomiści mentalnie tkwili w dyskusjach zapoczątkowanych jeszcze w okresie polskiego października i w okowach tzw. myśli rewizjonistycznej. Wszystkie ówczesne projekty były próbą pogodzenia centralnego planowania i państwowej własności środków produkcji z rynkiem. Szukano rozmaitych wariantów zrównoważenia planowania centralnego i rynku. Ponieważ dogmat planowania centralnego był nie do podważenia, kluczową kwestią stało się wypracowanie quasi rynkowej formuły przedsiębiorstwa państwowego. I w końcu przyjęto koncepcję „3xS” - ideę samorządnego, samofinansującego się i samodzielnego przedsiębiorstwa. Realne kompetencje samorządów miały być gwarancją i barierą przeciw nawrotowi centralizmu, zaś samofinansowanie się przedsiębiorstw miało przyczynić się do poprawy efektywności gospodarowania, ograniczyć powstawanie „pustego” pieniądza i w konsekwencji ograniczyć inflację oraz wzmocnić dyscyplinę rynku pracy. Ekonomiści pewnie mieli świadomość tkwiących w tych koncepcjach sprzeczności. Tych jednak nie podnosili. Wiedzieli, że pryncypia socjalizmu są nieprzekraczalnymi granicami reformy. I nadal wierzyli, że w ramach tych pryncypiów możliwa jest poprawa efektywności. Kryzys gospodarczy sięgnął dna jesienią 1981 r. Reforma gospodarcza została ostatecznie wdrożona w 1982 roku, tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Jak potoczyłyby się losy gospodarki, gdyby władza nie wprowadziła stanu wojennego? Związek nie był bynajmniej w tej kwestii jednolity. „Solidarność” była jednością sztuczną, cementowaną poczuciem zagrożenia. Tak masowy ruch już sam w sobie nosił załamek swojego upadku – podziału na rozmaite frakcje. W warunkach ostrego kryzysu ten proces już się uwidocznił i pewnie zakończyłby się rozpadem Związku. Już w 1981 roku rodziły się stricte polityczne inicjatywy i dziwaczne koncepcje gospodarcze, np. idea strajku czynnego. Żadna jednak z frakcji „Solidarności” nie była mentalnie przygotowana do drastycznych cięć, czy koniecznych, drastycznych podwyżek cen.

Reforma gospodarcza nie przyniosła spodziewanych przez władzę wyników. Dodatkowo rygory stanu wojennego, sankcje ekonomiczne, zduszenie oddolnych inicjatyw jeszcze ją okroiły i wypaczyły. Dla gospodarki lata 80-te były swoistą „czarną dziurą”. Reformy na dobre ugrzęzły. Wszystkie problemy pozostały. Tymczasem w latach 80-tych, w gospodarce światowej nastąpiło gwałtowne przyspieszenie. Świat i polska gospodarka zaczęły się rozjeżdżać. Z drugiej strony, internowania, następnie masowa emigracja, delegalizacja struktur, presja SB, itd., bardzo osłabiły „Solidarność”. Związek ledwie wegetował. Był skrajnie zdecentralizowany. Władze centralne właściwie nie istniały. Związek uosabiał Lech Wałęsa. Szybko ujawniły się także ambicje działaczy i lokalne podziały. Bez wsparcia Kościoła, zachodnich mediów i opinii publicznej, środowisk opozycji oraz tego, że wartości „Solidarności” tkwiły w samych ludziach, Związek by nie przetrwał. W latach 80-tych program Związku został „zamrożony”. Horyzonty działaczy pozostały niemal takie same.

Równolegle wśród części niezależnie myślących ekonomistów narosło przekonanie, że reforma gospodarki realnego socjalizmu jest niemożliwa i to niemożliwa nie tylko z powodu oporu elit władzy, ale i z powodu immanentnych sprzeczności tkwiących w samej centralnie planowanej gospodarce. Coraz szerzej uznawano tezę, że centralne planowanie i państwowa własność środków produkcji są nie do pogodzenia z rynkiem i same w sobie są nieefektywne i marnotrawne. To przewartościowanie poglądów zbiegło się w czasie z rewolucją konserwatywną na Zachodzie. Do Polski zaczęły napływać nowe idee. Im bardziej gospodarka pogrążała się w chaosie i załamywała, tym większy oddźwięk zyskiwały idee radykalnej zmiany i oparcia gospodarki o ortodoksyjnie pojmowane wolnorynkowe fundamenty. Kariere robiły książki Hayeka, Friedmana, Misesa, Rand i libertarian. Podziemne oficyny przetłumaczyły szereg pozycji. Pojawiły się pierwsze opracowania – także oficjalne - zachodniej myśli liberalnej i antologie tekstów. Napływały książki z Zachodu. Owocowały też zagraniczne stypendia, z których stypendyści przyjeżdżali całkowicie odmienieni. Sam także pilnie studiowałem myśl liberalną i konserwatywną pochłaniając książki, początkowo te, które wpadły mi w ręce, a później już systematycznie. Dla wielu wzorem i punktem odniesienia były reformy Thatcher i Reagana. Kluczową kwestią stał się problem własności prywatnej jako fundamentu, bez którego gospodarka rynkowa istnieć nie może. W związku z tym prywatyzacja przestała być tematem tabu. I stało się oczywiste, że w pakiecie reform musi ona odgrywać pierwszoplanową rolę.

Poglądy te były radykalnym zerwaniem i z myślą ekonomiczną PRL-u i z programem „Solidarności” (o ile w ogóle o programie ekonomicznym Związku w okresie stanu wojennego można mówić). Stały się one załącznikiem III RP. Były reakcją na ostateczny upadek reform i kompletny brak jakichkolwiek sensownych perspektyw poprawy gospodarki. Kosztów i konsekwencji społecznych tak radykalnych reform nikt jednak nie rozważał. Nie znam nikogo kto by to czynił. Panowała ogólna zgoda, że margines bezrobocia będzie istniał i że jest on nawet konieczny, gdyż będzie dyscyplinował pracowników. Tego rodzaju analizy były zresztą niemożliwe. Niezależni ekonomiści wegetowali na marginesach życia akademickiego – swoboda dyskusji była bardziej niż ograniczona, oficjalne publikacje zakazane i nadal większość środowiska ekonomistów uważała je za mrzonki. Natomiast w mniej lub bardziej towarzyskich rozmowach dominowały poglądy bardzo radykalne – funkcje państwa winny być ograniczone do minimum, sprywatyzować należy niemal wszystko, władzę związków trzeba ograniczać, „socjal” ciąć, itd. Dyskusji tych nie traktowałem jednak dosłownie. Widziałem w nich retoryczną przesadę i przekorę i odzwierciedlenie ówczesnych nastrojów - reakcji na rozkład realnego socjalizmu, rosnące poczucie anachronizmu i zacofania oraz poszukiwanie sprawdzonej alternatywy.

Oczywiście niezależne środowiska, tak jak mogły popierały „Solidarność”. Walka z „komuną” była priorytetem. Bez reaktywowania Związku o żadnych reformach mowy być nie mogło. Sprzeczności – nawet jeśli je dostrzegano – wydawały się drugorzędne. Upadek PRL-u oznaczał ostateczne rozmycie misji i etosu „Solidarności”. Nie sposób co prawda przecenić roli Związku w kształtowaniu podstaw nowego systemu politycznego i w płynnym przejściu z PRL-u do demokracji. Pamięamy przecież zdjęcia Lecha Wałęsy z kandydatami na parlamentarzystów, rolę Komitetów Obywatelskich, czy wsparcie przez Związek rządu Tadeusza Mazowieckiego. Wielu działaczy „Solidarności” przeszło do polityki i gospodarki wspierając i rozwijając demokratyczne państwo i gospodarkę rynkową. Jednak w nowej rzeczywistości Związek w formule z lat 1980-81 i stanu wojennego stawał się organizacją anachroniczną. Szybko zresztą jego funkcje i znaczenie zostały zredukowane. „Solidarność” nie mogła i nie chciała zastępować demokratycznych instytucji. Stała się po prostu jednym ze związków zawodowych.

Najważniejsze postulaty „Solidarności” i jako ruchu społecznego i jako Związku zostały zrealizowane - zniknęła cenzura i państwowa kontrola mediów, demokratyczne wybory stały się faktem, Związek uzyskał pełną swobodę działania, prawa pracownicze przestały być iluzją itd. Dawne cele i formuła działania przestały być więc aktualne. „Solidarność” stanęła wobec konieczności przeformułowania swoich celów i „wpasowania się” w nowy system. Jednocześnie Związek musiał jakoś ustosunkować się do masowej prywatyzacji, do upadku wielu zakładów pracy i podważającej tradycyjne fundamenty Związku modernizacji i restrukturyzacji. „Solidarność” stanęła wobec nierozwiązywalnych problemów: była częścią demokratycznego społeczeństwa, ale musiała bronić miejsc pracy, przeciwstawiać się bezrobociu, chronić wywalczone przywileje. Poddana została więc ogromnej presji. W dodatku gwałtownie zmieniała się i sama „Solidarność” – niemal wszyscy „historyczni” przywódcy odeszli lub zostali ze Związku wypchnięci, a większości dawnych zwolenników Związek nie był już potrzebny - zaczęli wykuwać swoją przyszłość zakładając firmy, robiąc kariery w zachodnich korporacjach, czy instytucjach demokratycznego państwa. W końcu kierownictwo przejęła nowo generacja działaczy.

Podjęte reformy były szokiem dla „Solidarności”. Upadły setki zakładów pracy. Ekonomiczna racjonalizacja przedsiębiorstw zbiegła się ze skokiem technologicznym i otwarciem rynku, wprzęgnięciem gospodarki w globalną ekonomię. Większość państwowych firm nie sprostała konkurencji i przypuszczam, że sprostać nie mogła. To była diabelska spuścizna PRL-u. Firmy odcięte, przez dziesięciolecia, od realnego rynku i konkurencji, technologicznie zapóźnione i źle zarządzane musiały z dnia na dzień dostosować się do wymogów rynku. Nastąpiła częściowa dezindustrializacja kraju. Wysokie bezrobocie stało się trwałym elementem gospodarki. Niewątpliwie był to koszt, którego nie sposób było uniknąć. Jednak jak to wytłumaczyć rzeszom zwalnianych pracowników? W latach 90-tych i później wielokrotnie spotykałem się z rozszalonymi i niekiedy zrozpaczonymi ludźmi. Nie były to łatwe rozmowy. Dla nich świat się walił. I nie bardzo potrafili sobie wytłumaczyć dlaczego. Winili władzę, Związek i nie chcieli nikomu już wierzyć. Wielokrotnie też chodziłem po opustoszałych, milczących, nieczynnych halach fabrycznych, oglądałem popadające w ruinę budynki i zarastające trawą rampy. Radom nie świętuje już kolejnych rocznic wydarzeń 1976 roku. Stał się dziś miastem dyskontów i ciucholandów. Ulicę 1905 roku, wzdłuż której mieściły się znane w Polsce przedsiębiorstwa, mieszkańcy nazywają dziś ulicą upadłości. Masowy odpływ ludzi ze Związku był nieunikniony.

W tej nowej sytuacji „Solidarność” nie odnalazła się. Z jednej strony podjęła próbę stworzenia politycznej reprezentacji (AWS) i na krótko przejęła władzę, z drugiej zaś okopała się w państwowych przedsiębiorstwach. Reakcją na upadek AWS było zamknięcie się w związkowej formule. To jednak stało się przyczyną frustracji części działaczy i pomimo deklaracji Związek stał się stroną w politycznym sporze. Z czasem ujawniały się i negatywne strony Związku. „Solidarność” blokowała wiele reform, przeciwstawiała się koniecznej restrukturyzacji firm, wymuszała przywileje. Związek przestał rozumieć potrzeby kraju i gospodarki. Zwyciężyła koncepcja mnożenia żądań i roszczeń. Wielką klęską stała się niezdolność „Solidarności” do obrony praw pracowniczych w prywatnych przedsiębiorstwach. Związek nie podjął nawet próby takiej obrony, poddał się walkowerem. Działacze „wbili się” w garnitury, okopali w państwowych firmach, zazdrośnie strzegąc tego, co już uzyskali. W nowej rzeczywistości „Solidarność” nie była w stanie sformułować nowoczesnego programu. Ale bądźmy sprawiedliwi, mają z tym kłopoty i inne związki zawodowe, partie lewicowe i ruchy alternatywne i to na całym świecie.

A cóż znaczy dziś „solidarność” jako wartość? Czy możemy powiedzieć, że dzięki temu, że Związek tę wartość wypisał na swoich sztandarach i przez lata ją tak eksponował, staliśmy się bardziej solidarni i jako społeczeństwo i jako jednostki? Niestety nie. Do głosu doszedł i rozwinął się polski indywidualizm i związany z tym egoizm, koncentrowanie się na własnych interesach, agresywna konkurencja, niechęć do współpracy z innymi, powszechny brak zaufania itd. Polska należy do krajów o najniższym poziomie tzw. kapitału społecznego. Większość Polaków jest głodna sukcesu i zrobi wiele, aby go osiągnąć. Ten sukces pojmuje konkretnie, materialnie, konsumpcyjnie. Zawsze zdumiewało mnie jak szybko przyswoiliśmy sobie zachodnią pop-kulturę i zachodni styl życia i jak szybko chcielibyśmy osiągnąć zachodni poziom życia. Polacy i to bez różnicy czy przedstawiciele elit czy tzw. zwykli ludzie, nieustannie odnoszą się i porównują do tego co istnieje „tam”, w krajach „dojrzałej” demokracji i rozwiniętej gospodarki. Te porównania zamykają usta oponentom i zwykle dyskusję kończą. Indywidualizm i zapatrzenie w Zachód podważa też naszą kulturową tożsamość. Polska tradycja gdzieś rozmywa się lub jest spychana do swoistych gett. Nie chcę tego jednak wartościować. Żyjemy w zglobalizowanym świecie. I jest to proces uniwersalny. Widziałem to w wielu krajach i to w jeszcze większym natężeniu. Pamiętać też trzeba, że polska kultura była zawsze kulturą kraju peryferyjnego.

W gospodarce, szczególnie w latach 90-tych, ten indywidualizm pięknie owocował. Powstało ponad dwa i pół miliona drobnych, prywatnych firm. Ich właściciele ciężko pracowali, budując podstawy swojego dobrobytu i podstawy rynkowej gospodarki. To oni są „cichymi” bohaterami polskiej transformacji. Ich optymizm i jako producentów i jako konsumentów jest dziś siłą napędową gospodarki w Polsce. Dzięki niemu jesteśmy dziś „zieloną wyspą”. Z czasem siła polskiego indywidualizmu staje się ograniczeniem naszej gospodarki. Niski kapitał społeczny: brak zaufania, egoizm, niechęć do współpracy, ostra konkurencja, pogoń za krótkookresowym zyskiem itd., stanowią barierę w rozwoju. Elity nie są w stanie się porozumieć, wiele grup zawodowych nie potrafi zrezygnować ze swych przywilejów, wiele projektów grzęźnie w ciągłych przepychankach. Polski indywidualizm stopniowo wyczerpuje swój potencjał i znaczenie dla państwa i gospodarki. Nie jest to zjawisko wyłącznie polskie. Jednak to my ciągle gonimy Zachód, nie odwrotnie.

Polska jest dziś krajem głęboko podzielonym. Oskarżenia i inwektywy przekraczają kolejne, wydawałoby się nieprzekraczalne, granice, łącznie z pomówieniami o zdradę, wysługiwanie się obcym państwom, okradanie państwa i przypisywaniem rywalom najniższych pobudek. Polskie podziały są bardzo skomplikowane i wielopłaszczyznowe: majątkowe rozwarstwienie jest jednym z najwyższych w UE, polityczne, kulturowe i religijne podziały zdają się być nie do zasypania. Czy przyczyną tego jest gwałtowna modernizacja, skok cywilizacyjny i głębokie zmiany w strukturze wartości? Zapewne. Jesteśmy społeczeństwem w transformacji. I pewnie po jakimś czasie nastąpi stabilizacja.

Doświadczenie „Solidarności” jest jednak nadal ważne i dla mnie i – jak sądzę – dla części mojego pokolenia. „Solidarność” była powiewem wolności i prawdy, a większość społeczeństwa, zwykli, bezimienni ludzie upomnieli się wówczas o swoje prawa i godność. Jest tak, niezależnie od naszych ocen ówczesnych sporów, podziałów i kłótni. Nie mają one przecież już żadnego znaczenia i niewielu o nich pamięta. Dziś „Solidarność” jest przypomnieniem, że nawet w systemach totalitarnych i autorytarnych ludzie prędzej czy później upomną się o swoje prawa i swoją godność. Najnowszym i zaskakującym przykładem jest arabska wiosna. Z drugiej strony „Solidarność” jest ostrzeżeniem, że wolności i prawa człowieka nie są czymś danym na zawsze, że należy ich strzec i szanować, że łatwo jest je stracić, ale trudno przywrócić. Wielu Polaków zdaje się tego nie doceniać. Pokusy ograniczania wolności z najrozmaitszych powodów są ponadczasowe. Rządzący znajdują setki argumentów aby je uzasadnić. A współczesność niesie wiele zagrożeń.

„Solidarność” to także ważna lekcja polityki. Jej symbolem jest „okrągły stół”, ciągle poszukiwanie kompromisu, uznanie innych racji, szanowanie rywali, pokojowe rozstrzygnięcie najbardziej nawet trudnych problemów. „Solidarność” przerwała fatalny polski ciąg przegranych powstań i straceńczych koncepcji. Dziś słusznie szcycimy się tym, wskazując innym jako wzór do naśladowania. Idea „okrągłego stołu” będzie zapewne najbardziej znanym i trwałym wkładem „Solidarności” w dziedzictwo jednoczącej się Europy. Jest to zresztą swoisty paradoks, ponieważ właśnie „okrągły stół” był w Polsce przedmiotem gwałtownego sporu i niewybrednych oskarżeń. I, rzecz dziwna, idea ta nie jest ani specjalnie ceniona, ani politycy nie mają ochoty jej stosować w realnej polityce. Czy ktokolwiek trzeźwo myślący mógłby sobie wyobrazić dziś obrady „okrągłego stołu”?

Warszawa, październik 2011

 „Solidarność” po latach” by Jerzy Drygalski is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Przyczyny, dla których jestem zawstydzona, gdy patrzę na Polskę

Małgorzata Kępczyńska

Była jasna grudniowa noc 1981 roku i rozchodziliśmy się z naszego redakcyjnego pokoiku do domów w świetnych, choć nieco wisielczych humorach. Zawartość kolejnego numeru „Poglądów” była ustalona, śnieg biały, mróz nie za duży, my – młodzi i wolni. I niespokojni, bo groźba rozprawienia się z „Solidarnością” wisiała w powietrzu i wieściach z różnych stron już od jakiegoś czasu. Ktoś z nas uspokajająco stwierdził, że „przed Świętami się nie odważą”. Tylko Jacka K. nie zawiodła intuicja: „zobaczycie, że jeszcze przed Świętami czerwony coś nam wykręci”.

No i wykręcił 13 grudnia. Już nie zobaczyliśmy pokoju redakcyjnego, przygotowanych tekstów, niczego, co tam zostało. Taki był koniec „Poglądów” i naszego względnie beztróskiego udziału w wysiłkach na rzecz kształtowania nowej Polski. Trzech spośród nas powędrowało do „internatu”, reszta otrzępała pióra. Wszyscy postanowiliśmy się nie dać i słowa dotrzyaliśmy. Ale to już inna historia...

Tymczasem już wcześniej utworzyły się stronnictwa, towarzystwa, obozy licytujące się na swoje zasługi w ruchach opozycyjnych. Linie podziałów wyznaczały również różnice w orientacjach ideologicznych.

Zacząło się wzajemne podgryzanie i wypieranie z areny działań. Pamiętam, jak na drzwiach naszego „pokoju redakcyjnego” ktoś kredą wyrysował sporych rozmiarów gwiazdę Dawida. I na pewno nie był to ktoś z ulicy. Pamiętam także bitwy między studentami na strajku studentów w Łodzi w roku 1981. Dlaczego bitwy? Bo pojawili się „korowcy” z Warszawy. Przerażona pani profesor z anglistyki chwytła mnie w holu pytając — co robić? Oni tu są! Zakończyło się skokami przez okno i wzajemną niechęcią między środowiskami akademickimi Łodzi i Warszawy. Zaprosić z wykładem Michnika, czy nie? Z Kuroniem, czy bez? Wiele czasu zajęły kłótnie na ten temat w uniwersyteckiej „Solidarności”. Wtedy wydawało mi się to śmieszne i żalosne; dziś wiem, że kłótnie te były wyrazem głębokich podziałów i różnic w postawach wobec świata, państwa, społeczeństwa i widoków na przyszłość.

Dobiliśmy wreszcie do 4 VI 1989 roku. „Komuna” się skończyła. Nastąpiła wolność, demokracja i kapitalizm. Wszyscy się cieszyli, bo myśleli, że jedno z drugim i trzecim w oczywisty sposób da się pogodzić. Parafrazując nieszczęsny wiersz nieszczęsnego poety: „mówimy wolność i demokracja, a w domyśle — kapitalizm, mówimy kapitalizm, a w domyśle — wolność i demokracja”. Solidarność została ostatecznie za drzwiami zwycięskiej rewolucji. Nie bez powodu i nie bez konsekwencji. Pamiętne hasło „Nie ma wolności bez solidarności” brzmi dzisiaj jak kiepski żart, choć samo słowo „solidarność” jest bez umiaru używane w dywagacjach polityków, a nawet ekonomistów (rządziej). Okazało się, że to strach i zniewolenie są stymulatorami solidarności. Lecz jest to solidarność wykluczonych, defensywna i obracająca łatwo w nienawiść i pogardę.

Poczucie wspólnoty i braterstwa obecne w każdej dającej się wyróżnić grupie społecznej tylko czasami prowadzi do działań społecznie rewolucyjnych; a to wtedy, gdy wiele lub wszystkie te grupy podlegają opresji, która przekracza punkt krytyczny i z różnych względów staje się prawie dla wszystkich nieakceptowalna. Więc w roku 1980 na chwilę zanikły różnice między klasami i warstwami społecznymi, na chwilę poszły w kąć partykularne interesy. Na transparentach wypisaliśmy żądania wolności, równości, godności itp. Pewnie wielu z nas miało nadzieję, wręcz pewnością, że oto rodzi się „solidarność prawdziwa”, czyli ta, o której pisał ks. Tischner — solidarność sumień. Biedny ks. Tischner, gdyby wiedział, co zostało z jego wskazówek, ostrzeżeń i diagnoz! Póki co, trwał „festiwal Solidarności”. Elity bratały się z ludem, lud dostawał wsparcie od zbuntowanych elit. Ponieważ wszyscy byli zgnębieni i upokorzeni, więc wszyscy zgodnie walczyli o odzyskanie godności i wolności. Dzięki temu, pomimo okiełznania stanem wojennym, po latach partyzanckiej wojny z „czerwonymi” nadszedł 4 VI 89 i pierwsze od II wojny światowej wolne wybory. A Joanna Szczepkowska zaanonsowała w telewizji, że „skończył się w Polsce komunizm”.

Fakt. A co się zaczęło? Wolność i kapitalizm oczywiście. Demokratyczne państwo prawa. Przedsiębiorczość sankcjonowana „niewidzialną ręką rynku”. Eksplozja ludycznej odmiany wolnego rynku ma Stadionie Dziesięciolecia. Fajerwerki „przedsiębiorczości” postpezetpeerowskich kacyków i różnej maści cwaniaków. I tak dalej, i tak dalej... Nie chodzi o to, że nagle ujawniły się paskudne charaktery ludzi. Świat nigdy nie był i nie będzie przybytkiem samych świętych (cokolwiek by to znaczyło). I samych mądrych.

Po prostu, zamroczeni sukcesem „Solidarności” straciliśmy (w dużej mierze) z oczu cele do osiągnięcia, a także problemy do rozwiązania (nawet przy założeniu, że nigdy w 100% nie osiągalne i nierozwiązywalne). Straciliśmy też niezbędną pokorę i samokrytycyzm niesłuchanie potrzebne w całkowicie nowej sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej, w której się znaleźliśmy. No bo przecież jak „obaliliśmy komunę”, za plecami mamy papieża Polaka, mesjaszem narodów jesteśmy, to czy czegoś nie potrafimy? Teraz już prosto autostradą do dobrobytu!

Przed zamglonymi pożądaniami bogactwa oczami majaczyła, niby wzorzec z Sèvres, Ameryka. Bo też wszyscy nasi guru od transformacji uczyli się rynkowej gospodarki na stażach i stypendiach w Ameryce, do której ich protoplaści jeździli „za chlebem” i która jawiła się (do dziś się jawi) ziemią obiecaną wielu pokoleniom Polaków. Chyba tylko z racji geograficznych znaleźliśmy się w końcu w UE, bo pewnie chętniej lwia część współobywateli widziałaby unię z Ameryką.

Potoczyło się jak się potoczyło. Popadliśmy w całkowicie bezkrytyczny optymizm, zupełnie jakbyśmy wierzyli, że kapitalizm jest jeden i jest jakimś *perpetuum mobile*, do którego każdy może się podłączyć i bez konsekwencji negatywnych czerpać zeń energię (czytaj: zyski).

Tymczasem lawina już szła. Niedemokratyczny, neoliberalny kapitalizm, z którym się zderzyliśmy, rozpoczął już dewastację społeczeństw własnych i nie tylko. Niewidzialna ręka rynku okazała się ręką uzbrojoną w „pazury bestii”: korporacji, „instytucji i instrumentów finansowych”, deregulacji rynkowych, prywatyzacji, itd., itp. Jasne, że nie musiały to być bestie, gdyby nie głupota rządów oraz ludzki egoizm, chciwość i brak wyobraźni... Chyba nie zapomnę osłupienia i niesmaku na wieść, że Konfederacja Pracodawców Prywatnych przybrała nazwę LEWIATAN. Można rzec *nomen omen*. (Kto nie wie, co to Lewiatan, może łatwo sprawdzić w internecie.)

Wobec rosnącego bezrobocia i atomizacji społeczeństwa pracodawcy mają, nieuniknioną być może, skłonność do zachowań typu „wolny lis w wolnym kurniku”. Zresztą ta sama skłonność tkwi, być może, u źródeł ucieczek kapitału do krajów z tanią „siłą roboczą”. Nie ma ludzi, jest „kapitał ludzki” i ludzka „siła robocza”. Taka jest esencja globalizacji ekonomicznej.

A czy jest inna? Na przykład kulturowa? Osobiście wątpię, choć nie czuję się dość kompetentna, aby tego dowodzić. Ale coś jest nie tak, jeśli społeczeństwa się rozszypują i coraz bardziej zindywidualizowane zbiory różnych ludzi współistnieją w świecie, gdzie coraz trudniej czuć się „u siebie”. I nic tu nie ma do rzeczy możliwość podróżowania, znajomość języków, przepływy kapitału, pracowników itd. Ma natomiast do rzeczy erozja tradycyjnych ścieżek komunikacji międzyludzkiej wynikła z postmodernistycznego paradygmatu kultury. To na gruncie tego paradygmatu postulat **równowartości** kultur i stylów życia zaowocował obojętnością wobec rzeczywistych różnic w kondycji, postawach, uwarunkowaniach i potrzebach ludzi, grup społecznych i całych społeczeństw. Obojętność tę sprytnie nazwaliśmy tolerancją, ale jest to, rzecz można, tolerancja negatywna. Aspekty życia istotne egzystencjalnie spychamy do prywatnej, ściśle „intymnej” przestrzeni. Śmierć komunikacji międzyludzkiej staje się faktem.

W efekcie stajemy bezradni wobec zjawisk, których ani nie rozumiemy, ani nie chcemy. Społeczeństwo, wbrew oczekiwaniom, nie stało się bardziej tolerancyjne, mniej ksenofobiczne, bardziej otwarte. Upiory nacjonalizmu, rasizmu, antysemityzmu, pogardy i wyzysku innych i słabszych mają się dobrze.

To wszystko dotyczy w oczywisty sposób również Polski. Choć na pozór wszystko idzie dobrze, a rząd zapewnia, że kryzys damy radę opanować. Może. Oby tak było.

Kiedy tworzyliśmy „Poglądy”, nie mieliśmy pojęcia o groźbach jakie niesie ze sobą zainicjowana przez powstanie „Solidarności” polityczno-społeczno- gospodarcza rewolucja. Nasza wina — symptomy zmierzchu neoliberalnego porządku (?) dawały się już w świecie Zachodu spostrzec. Cóż, trzeba to, jak widać, przerabiać na własnej skórze. Byliśmy też naiwni, a w ogólności całe społeczeństwo (oczywiście ze szlachetnymi wyjątkami) było równie ciemne jak komunistyczna „dyktatura ciemniaków”. Chcieli socjalizmu „z ludzką twarzą”. A dziś rozlega się wołanie o kapitalizm z ludzką twarzą. Całkiem słusznie. I słusznie uznano, że elementarnym warunkiem ustroju „z ludzką twarzą” jest wolność. Nie przypadkiem sprzężone z wolnością hasła równości i braterstwa stały się tożsame z ideałami ruchu „Solidarności”, z nadzieją, że nie będą to znów (jak bywało) hasła służące do pacyfikacji zbuntowanego ludu. Lecz wolność równość i braterstwo implikują sprawiedliwość społeczną. Na nią zaś zgody nie ma. Zaraz po 1989 roku niektórzy nawet światli (?) publicyści poddali w wątpliwość pojęcie sprawiedliwości społecznej nie znajdując dlań realnego desygnatu. Polemizowali z tą wątpliwością Kołakowski, Kuroń, Modzelewski, lecz oni przestali już być niezbędnymi autorytetami i niewielu się dziś na nich powołuje. A lud zagłosował na Tymiąńskiego.

Nie dalej jak wczoraj słuchałam nie wierząc uszom nowo powołanego posła skarżącego się, iż najbardziej wykluczoną grupą społeczną są przedsiębiorcy. Za dużo ograniczeń, za wysokie podatki, nękanie kontrolami. I to był poseł z partii mieniającej się lewicową! Wtórował mu młodzian ze skrajnej prawicy skarżący się na „ucisk podatkowy” i różne socjalne „darowizny”. Uznawał to za zamach na wolność, bo — jesteś wolny, to możesz sobie zarobić i sobie kupić; a nie zarobisz, to nie masz. Oto próbka mentalności budowniczych wywalczonej przez „Solidarność” Polski. Nareszcie wolnej Polski.

Ale czy my staliśmy się ludźmi wolnymi? W hasłach i postulatach wolność oznaczać miała wolność kształtowania własnego życia dla wszystkich. Oczywiście punkt startu tego kształtowania nie może być taki sam dla każdego; lecz chodzi o równość szans. A na to nie ma widoków i nie zanoszą się na nie. Arystokracja naszej, pożałuj Boże, demokracji ani myśli na serio szukać skutecznych sposobów wyrównywania szans kogokolwiek na cokolwiek.

Prawdziwa wolność wymaga spełnienia niełatwych warunków, w których może się realizować. Wymaga stworzenia elementarnej bazy, która tę realizację umożliwi. Bez niej wolność indywidualna (i nie tylko) wyradza się w **bezwolność** wykluczenia.

Prezydent i premier zgodnie wzywają obywateli do odpowiedzialności za państwo. Tyle, że przez ponad dwadzieścia lat państwo wymigiwało się od odpowiedzialności za losy swoich obywateli. W sferze deklaracji oczywiście kolejne rządy i parlamenty z podziwu godną hipokryzją przedstawiały się jako odpowiedzialne, lecz każdy błąd legislacyjny bądź zaniechanie ujawniały dziwną niemoc ustalenia jakiegokolwiek i czyjejkolwiek odpowiedzialności. Niby w tym nic dziwnego, ponieważ im więcej mamy wolności, tym więcej ponosimy odpowiedzialności, lecz również trudniej określić jej granice i dokładniej ją sprecyzować. Trudności te jednak nie mogą usprawiedliwiać zrzekania się odpowiedzialności przez rządy i instytucje, które podjęły się reprezentowania i realizowania interesów ogółu obywateli.

Zawszad słyhać, że żyjemy w „demokratycznym państwie prawa”. Nazwa jednak nie czyni rzeczywistości. Fasadowe państwo, fasadowa (wyłącznie elektoralna) demokracja i fasadowe (niekiedy z zamierzenia) prawo. Nie tego chcieliśmy. Dlaczego tak wyszło? Może musiało wyjść? Może dlatego, że po odzyskaniu wolności zrezygnowaliśmy ze wspólnoty i powszechności, które domagały się współodpowiedzialności i solidarności? A kiedy wyparowała z elit solidarność, to wyparowała też zobowiązawalność wzajemna, a sprawiedliwość społeczna ostała się jedynie pijarowym słowniku polityków.


Wzrost agresji i przemocy zwłaszcza wśród młodzieży nie wziął się znikąd; naiwne jest tłumaczenie go brakiem czasu poświęcanego dzieciom przez rodziców. Kiedyś dzieci może częściej niż dzisiaj chodziły „z kluczem na szyi”, lecz, paradoksalnie, ich los był mniej niż dzisiaj zdeterminowany miejscem urodzenia i społecznym statusem rodziców, bardziej zaś aspiracjami i ambicjami związanymi, wbrew pozorom, raczej z wartościami duchowymi niż materialnymi.

Dlatego też (choć nie tylko dlatego) „Solidarności” się powiodło, choć później robiliśmy wiele, by znaczną część owoców tego zwyczajstwa zmarnować i z gorliwością neofitów napawać się „postępem” cywilizacji pieniądza. Przasne umysły i duże pieniądze, wyzysk i pogarda dla słabszych i obcych, pozorowana tolerancja i fajerwerki nienawiści. We wszystkich grupach i warstwach społecznych bez wyjątku. I tak sami wyhodowaliśmy grupy kiboli i chuliganów — **dzieci naszej pogardy**. Potwierdza to m. in. nasz intelektualny celebryta, filozof i etyk profesor Jan Hartman w pełnej pogardy właśnie krytyce ruchu „Oburzonych” pisząc: „Człowiek z nizin (społecznych — M. K.) widzi tylko pieniądze i przedmioty. Nie uczestniczy w kulturze, nie czyta. Chce mieć. Kiedy już nie może wytrzymać, rzuca kamieniem w szybę i zabiera” Jakże proste a dobitne wytłumaczenie zawilości społeczno-politycznej rzeczywistości!

Chyba przystąpię do „Oburzonych” ...

Drodzy koledzy! Możecie mnie wyzwąć od outsiderów i skażonych resentymentem nieudaczników. Trudno. Jak wszyscy miałam trzydzieści lat na obserwację naszej postsolidarnościowej rzeczywistości, i tak właśnie ona mi się jawi. Wiem również, że po przeczytaniu mojego tekstu ten i ów może zapożyczając słowa piosenki Wojciecha Młynarskiego powiedzieć:

Znam z relacji pani racje; twarde one, że ho ho, ale ja się pytam: po co pani to? Przecież widzi pani, jaką mamy sytuację.

 „Przyczyny, dla których jestem zawstydzona, gdy patrzę na Polskę” by Małgorzata Kępczyńska is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Czy ktoś się tego spodziewał?

Jacek Jordan

Prawdę powiedziawszy, ja się nie spodziewałem. Przynajmniej początkowo, bo później szło już według zasady „apetyt rośnie w miarę jedzenia”. Nie przewidziałem narodzin wielkiego ruchu współdziałania obywateli, który zabierze się do przebudowy PRL, mając intencje sprzeczne z wolą PZPR. Myślę o kierownictwie, nieco później bowiem ruch „poziomek partyjnych” wykazał, że PZPR nie stoi naprzeciw nas w zwartych szeregach.

I. „Solidarność” i „Poglądy”

Kiedy strajki z lata 1980 roku w sposób zasadniczy odmieniły sytuację w kraju, liczyłem jedynie - realistycznie, jak mi się zdawało - na przyszły autentyzm najniższych ogniw związkowych. Tymczasem jako rzecznik pragnień społecznych, wystąpił wielomilionowy NSZZ „Solidarność”. Dopiero z perspektywy lat autentyzm części przywództwa „Solidarności”, zwłaszcza przewodniczącego, wzbudza we mnie głębokie zastrzeżenia.

„Solidarność” powstała 17 września, a pierwszy numer „Poglądów” opatrzono datą 6 grudnia 1980 roku. Co do mnie, to do uczestnictwa w działaniach publicystycznych biuletynu przystępowałem wyposażony w pewien zasób jasnych wartości oraz niezbyt wyraźne nadzieje. Otóż wolne działania związkowe widziałem od początku w powiązaniu z polskością oraz zasadą demokracji. Nie chodziło mi przy tym o demokrację pojętą po marksistowsku, czy w innym odcieniu lewicowości. Zatem nie o „rządy ludu”, rozumianego jako „klasa robotnicza” oraz chłopi, z towarzyszeniem „inteligencji pracującej”, sprawowane jednak za pośrednictwem leninowskiej partii „nowego typu”. Nie rozglądałem się też za żadnymi innymi elitami w życiu publicznym. Własność kolektywną i gospodarkę centralnie sterowaną uważałem za niemożliwe do pogodzenia z demokracją.

Zarówno wówczas, jak i dzisiaj uznaję, że demokracją można nazywać jedynie ustroj wolności i równości obywatelskiej, który funkcjonuje w społeczeństwie, gdzie przewaga należy do drobnych i średnich właścicieli. Tego rodzaju systemy polityczne i społeczne w toku dziejów ukształtowały się spontanicznie w kilku miejscach na świecie, poczynając od starożytnej Grecji. W Polsce przez jakieś trzysta lat, istniała demokracja szlachecka, której rozciąganie na pozostałą część narodu zapoczątkowała dopiero Konstytucja 3 Maja 1791 roku, co wszakże przecięły rozbiory. Tradycję Rzeczypospolitej, głoszoną przez polskich republikanów a uzasadnianą przez Kołłątaja oraz Lelewela, nadal uważam za najzdrowszą podstawę ideową dla wszelkich ruchów demokratycznych w naszym kraju.

Trzydzieści przeszło lat temu Polskę – jeśli chciało się w niej żyć - należało, jak sądziłem, odbudować w sensie duchowym i politycznym. To zaś nie na ostatnim miejscu oznaczało konieczność ponownego zdefiniowania polskości. Krótko mówiąc, trzeba było tę polskość, także w aspekcie państwowym, oddzielić od idei uniwersalistycznych, w pierwszym rzędzie od uniwersalizmu socjalistycznego.

Dziełem tego uniwersalizmu była Polska Rzeczpospolita Ludowa, pomyślana jako twór przejściowy, zanim nastanie globalne państwo komunistyczne. Tymczasem „Solidarność” do chwili stanu wojennego, posiadała program wyraźnie socjalistyczny, nawet jeśli w odmianie socjaldemokratycznej. Wątki narodowe, jako też religijne wchodziły w orbitę zainteresowania Związku stosunkowo wolno, głównie wskutek odruchów pewnych środowisk pracowniczych. Oznaczało to niemal wyłącznie barwy białe – czerwone, tudzież inne rodzaje zewnętrznosci, przy braku myślowych uzasadnień.

Bardzo ciekawie, ale nad wyraz niepokojąco przedstawiał się stan demokracji wewnątrzwiązkowej. Prawda, że obejmowała ona nieco składników demokracji bezpośredniej, niestety warunki polityczne w państwie narzucały częstokroć szczególny tryb podejmowania decyzji przez kręgi przywódcze. Nie zawsze można było ze względu na dobro sprawy, otrzymać zgodę związkowców, a nawet podać im niektóre plany działań do wiadomości. Istniała jednak praktyka, której demokracja nie znosi, mianowicie nadrzędna pozycja przewodniczącego Związku, który stał się wprost obiektem kultu. Wówczas niezależnie od oburzenia, byłem tym mocno zdziwiony. W świetle wiadomości, które zaczęły się rozchodzić po 1989 roku, rzecz w moich oczach zrobiła się zrozumiała. Przewodniczący najwyraźniej miał powiązania z drugą stroną barykady a ta go inspirowała oraz podtrzymywała, gdyż

było jej bardzo na rękę, że ów przewodniczący występuje jako ostatnia instancja we wszystkich sprawach.

II. Łabędzi śpiew realnego socjalizmu

Wprowadzenie stanu wojennego wykazało, że władze komunistyczne w żadnym razie nie zamierzają dopuścić do zaprowadzenia w Polsce rzeczywistej demokracji, gdzie obywatele byłiby podmiotami. To samo dotyczy polskiego państwa narodowego, w dodatku z niezależną polityką zagraniczną.

Można więc było mówić, iż realny socjalizm okazał się niereformowalny politycznie i pod względem społecznym. Do tego samego wniosku doprowadzają oględziny gospodarki, a gospodarka przecież stanowiła powód całego trzęsienia ziemi. Przejmowanie rozwiązań kapitalistycznych w ekonomice w sposób zewnętrzny, bez zmian w zakresie własności i rynku, nie odniosło skutku w latach siedemdziesiątych. Skądinąd już w ostatniej fazie tamtej dekady, zauważyłem w oficjalnej publicystyce zmianę tonu w odniesieniu do ideału równości socjalistycznej. Nie proponowano wyrównywania płac, jak się tego później domagali członkowie „Solidarności”. Przeciwnie, zaczęto podnosić dobroczynne skutki zróżnicowania dochodów oraz błogosławione następstwa kształtowania się tą drogą elit społecznych, gdyż będą motorem rozwoju.

Muszę przyznać niestety, iż na temat systemu społecznego i gospodarczego nie miałem w okresie ukazywania się „Poglądów” w pełni wyrobionego zdania. Należąc do zwolenników własności prywatnej i wolnego rynku, nie widziałem wszakże potrzeby zaprowadzania w Polsce ortodoksyjnego kapitalizmu, w stylu amerykańskim, czy niemieckim (mniej ortodoksyjna „społeczna gospodarka rynkowa”). Byłem raczej za swobodnymi poszukiwaniami porządku współgrającego z demokracją polityczną, koniecznie bez przepaścistych różnic majątkowych między obywatelami. Gotów byłem dopuścić zróżnicowanie form właścicielskich, nie wyłączając w jakimś zakresie spółdzielczości, a nawet przedsiębiorstw państwowych.

Brakowało mi orientacji co do nastrojów społeczeństwa w tej mierze, starałem się jednak robić obserwacje. Jedną z nich, już z połowy lat osiemdziesiątych, szczególnie dała mi do myślenia. Pewnego razu z ramienia Muzeum Sztuki, udałem się do fabryki tkanin obiciowych w Kaliszu, gdyż potrzebne były aksamity do urządzenia wystawy. Wiedziony ciekawością historyka, zapytałem robotników o nazwisko przedwojennego właściciela. W odpowiedzi usłyszałem: - Co, jest pan z tamtej rodziny? Bierz pan to wszystko z powrotem! Odczułem wówczas niejaki przygnębienie, gdyż wynikało stąd, że robotnikom nie zależy na podmiotowości społeczno-gospodarczej, tudzież politycznej, lecz pokładają całą nadzieję w przywróceniu kapitalizmu z przeszłości.

Za jakiś czas uświadomiłem sobie, iż to stanowisko okazuje się być nadzwyczaj zgodne z duchem czasu, albowiem kapitalizm przegrupował siły i sam dotąd atakowany przez socjalizm, zaczyna go zwalczać na jego własnym terenie. Znienacka bowiem u naszych bram jako zdobywca serc, pojawił się neoliberalizm.

Wiadomo mi było o odrodzeniu się myśli neoliberalnej; u nas pisano o tym w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Pomimo tego neoliberalizm traktowałem jako zjawisko egzotyczne. Tymczasem uwiódł on nie tylko, rzadkich jeszcze u nas, świadomych zwolenników kapitalizmu, ale nawet, rzecz niebywała, opozycyjną lewicę, a także – dziw nad dziwy – samych ideologicznych komunistów, sprawujących rządy w PRL. Nie zamierzam twierdzić, że była to dosłownie cała lewica i wszyscy komuniści, jednak na pewno grupy decydujące o wizerunku tych środowisk.

Najwyraźniej stan wojenny w Polsce okazał się gwoździem do trumny dla całej socjalistycznej formacji ustrojowej, od sfery gospodarczej zaczynając. Komuniści doszli do ściany, czy jak kto woli, stanęli nad przepaścią. Pozostał im tylko ruch wsteczny, który – kto wie? – miał być może zrazu jedynie nowym NEP-em.

III. Unijna Rzeczpospolita Polska

Kalkulacje tego rodzaju stanęły bez wątpienia u kołyski porozumień „okrągłego stołu” w Polsce. Jednakże podskórne i jawne prądy najgłębszych zmian przebiegały już wtedy cały blok radziecki, a nawet, z wcześniejszym początkiem, przez Chińską Republikę Ludową. Jeśli mowa o rozmowach „okrągłego stołu”, to dobrze pamiętam, że byłem ich przeciwnikiem. Skoro komuniści nie kapitulują, nie ma sensu żadne porozumienie, z wzajemnymi ustępstwami. Potem znowu miałem zastrzeżenia do

prób rewizji tych porozumień, podejmowanych przez prawicę, no bo umów należy dotrzymywać. Znowu upłynęło trochę czasu i przyszło mi wrócić do pierwotnego stanowiska. W latach dziewięćdziesiątych rozeszły się wiarygodne, jak oceniam, wieści, iż pod chwiejącą się nogę słynnego stołu, podłożono pakt lewicy obu obozów. Ale nie dość na tym, ponieważ ów pakt był, jak słyhać, częścią ogólnego planu władz PRL, opracowanego potajemnie przez służby specjalne, w myśl założenia: „jak oddać władzę, aby ją zachować”. Opozycyjna lewica, czy może tylko jej istotna część, uwiarygodniła tym samym działania drugiej strony. Nie mogę tego określić inaczej aniżeli zdradą „Solidarności”.


Jeśli rozglądać się po naszych krajowych porządkach, od przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, widać znaczenie uczestnictwa w odbudowie własności typu kapitalistycznego. Prywatyzacje, właśnie, prywatyzacje... Był nawet program powszechnej prywatyzacji. Tak go jednak pomyślano, aby stał się metodą na bezpieczną koncentrację własności. Odradzający się kapitalizm od razu nabierał cech neoliberalnych i bardzo był w tym konsekwentny. Zapewne klasyczna gorliwość nowicjuszy. Tak neoliberalny nowicjat odbywali dawni funkcjonariusze realnego socjalizmu. Nie mniej oryginalny składnik sytuacji stanowiła „lewica liberalna”, sądząc po czynach, połączenie idealizmu celów, z pragmatyzmem środków.

A co z demokracją? Demokracji jest dziś u nas zarazem i dużo i mało. Ustrój polityczny Rzeczypospolitej Polskiej to demokracja formalna, wyrażona w odpowiednich przepisach prawa. Za to demokracji jako władzy obywateli nie widać. W praktyce jest tak, iż wyborcy spełniając „obywatelski obowiązek”, dają elitom legitymację do sprawowania rządów według ich „widzimisię” oraz na dobrą sprawę bez kontroli. Ten stan rzeczy oznacza demokrację ułomną, bo czymże się ona różni od porządków demokratycznych w PRL? Formalnie i zewnętrznie bardzo, ale główne rysy poprzedniej sytuacji przetrwały. Na górze, to jest na scenie politycznej, zasiadają elity zachowujące się dość podobnie, mimo iż reprezentują różne partie. Na dole masy nie zanadto zainteresowane swą rolą obywateli, które jedynie z wielką biedą dałoby się określić jako opinię publiczną. Dotąd nie powstały społeczne i duchowe podstawy demokracji, a nie widać też żadnych sił, które by się wokół tego krzątały.

Cóż robić, nawet początki naszego ustroju demokratyczno-kapitalistycznego nie były dla władzy obywatelskiej szczęśliwe. Wszak zasadnicze decyzje systemowe podejmował sejm kontraktowy a nie referendum. Toteż w polskim, formalnie demokratycznym społeczeństwie, nie istnieje przekonanie, iż o własne sprawy można skutecznie zabiegać przy zastosowaniu demokratycznych procedur.

O ile teraz z kolei obrócić uwagę na państwo polskie, to należy podkreślić jego niezmiennie szczególną sytuację. Duch czasu bowiem obok płaszczyzny neoliberalnej dostarczył nam płaszczyznę unijną. Tutaj mogę dla odmiany wysunąć naprzód swoją zdolność przewidywania. Kiedy więc w drugiej połowie lat osiemdziesiątych państwa EWG zacieśniały swoje więzi, pomyślałem, że w polskich kołach opozycyjnych niebawem pojawi się prąd, nawołujący do połączenia Polski z Europą. Aktualnie Rzeczpospolita Polska jest członkiem uniwersalistycznego bloku o charakterze bardziej zwartym niż dawny blok radziecki, z perspektywą dalszego zwarcia. Na miejsce czerwonego uniwersalizmu (z batem), zjawił się niebieski (z marchewką). Ale kolor gwiazd na flagach mają jednakowy.

Przyszłość jest trudna do przewidzenia, tym niemniej w świetle obecnych wydarzeń zaczynam dostrzegać podobieństwo Unii Europejskiej oraz „Titanica” – orkiestra zapewne grać będzie do końca... A jaka przyszłość czeka zasadę narodową i demokrację? Czy nie są już anachroniczne? Kto wie; jednak na swój użytek nie odstępuję od przekonania, że co naprawdę jest możliwe, daje się sprawdzić tylko w praktyce. Dlatego, jak niegdyś w „Poglądach”, liczę jeszcze, że dalszy ciąg nastąpi.

 „Czy ktoś się tego spodziewał?” by Jacek Jordan is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Złudzenia i fakty 1981-2011. Dwugłos pokoleń

Marek Cypryk i Maciek Cypryk

Marek:

Spoglądając wstecz uświadamiam sobie, jak naiwne były moje ówczesne poglądy na Polskę i Polaków, jak dalece różniły się od obecnych. Nie ma w tym nic odkrywczego. Człowiek był młody, chętnie wierzył w idealistyczne stereotypy, zwłaszcza takie, które służyły pokrzepieniu serc, podsycaly nasz patriotyzm. Przez 30 lat zmienił się radykalnie świat i warunki, do których przyszło nam się dostosować. Zdobyliśmy upragnioną wolność, co pozwoliło ludziom szerzej i szczerzej artykułować własne potrzeby. Pod ciężarem doświadczeń zmieniliśmy się my sami. Byłoby to banalne, gdyby nie fakt, że niektórzy myślą złudzenia z rzeczywistością, co jest źródłem rozczarowań i nieprzyjemnych frustracji. Spróbowałem zatem zestawić powszechnie krążące mity z początku lat 80-tych z opiniami opisującymi rzeczywistość lat 2010-tych. Siłą rzeczy jest to spojrzenie osobiste i subiektywne, ale myślę, że z podobnymi problemami boryka się znaczna część mojego pokolenia.

A zatem - w co wierzyłem, czyli **Mity'80**:

1. Jesteśmy społeczeństwem względnie dobrze wykształconym i nowoczesnym. Powtarzano to często w prasie, a my chętnie w to wierzyliśmy.
2. Jesteśmy społeczeństwem otwartym, o dużej świadomości demokratycznej, co miało wynikać w sposób oczywisty z tradycji historycznej. Implikacją tego założenia była przenikliwa konkluzja Wielkiego Językoznawcy, że komunizm pasuje do nas jak siodło do krowy.
3. Jesteśmy (w zasadzie) uczciwi, jesteśmy żarliwymi patriotami myślącymi w kategoriach propaństwowych; kiedy trzeba, potrafimy wznieść się ponad podziały we wspólnym interesie. Taki wniosek można było wysnuć z aktywności obywatelskiej lat 80-81.
4. Negatywna selekcja i karuzela stanowisk (nomenklatura partyjna) są immanentnymi cechami dyktatury komunistycznej.
5. Wystarczy wprowadzić wolny rynek, by zadziałała gospodarka; i wprowadzić demokrację (choćby w ograniczonej postaci), by zadziałało całe państwo.
6. Wystarczy wolność słowa, by rozkwitła kultura. Przypominam sobie słowa mojego ówczesnego mocno partyjnego dyrektora „poeci mieli mieć pełne szuflady tekstów, i co?”
7. Kościół (kierowany przez wybitnych przywódców, papieża Wojtyłę i prymasa Wyszyńskiego) wydawał się siłą ogniskującą najlepsze dążenia społeczne, skupiającą intelektualny potencjał narodu, posiadającą utrwalony autorytet.
8. Solidarność jawiła się jako stabilny ruch społeczny, stanowiący rodzaj porozumienia ponad podziałami i (potencjalnie) fundament stabilności państwa; autentyczny „front jedności narodu”, jeśli ktoś jeszcze pamięta, o czym mówię.
9. Rola „S” i nadzieje z nią związane wynikały z tego, że społeczeństwo wydawało się w ogólnych pryncypiach jednomyślne (co dodawało nam pewności siebie w działaniu: racja była po naszej stronie, albowiem tak wielu nie może się mylić).
10. Uważaliśmy, że ludzie Zachodu są w zasadzie tacy sami jak my; że w pełni należymy do ich świata, od którego brutalnie nas odcięto. Wystarczy podnieść żelazną kurtynę, a bez problemu odnajdziemy się w zachodniej cywilizacji.

I niespodziewanie kurtynę podniesiono.

Wyobraźmy sobie dwie widownie tego samego teatru, siedzące po dwóch stronach żelaznej kurtyny. Obie nie widzą się wzajemnie, ale wiedzą o swoim istnieniu i mają na swój temat pewne wyobrażenia. Nagle kurtyna podnosi się i można skonfrontować wyobrażenia z rzeczywistością. I oto widzimy, że tamta widownia po drugiej stronie jest całkiem inna niż myśleliśmy. Inaczej ubrana, inaczej się zachowuje, nie rozumie naszych dowcipów, śmieje się zupełnie z czego innego, ma inne zainteresowania, obyczaje. Z przykrością konstatujemy, że nasze doświadczenia, przeżycia, marzenia w ogóle ich nie interesują. Przeglądamy się w tamtym świecie, jak w krzywym zwierciadle i zmienia się nasze mniemanie o nas samych.

Oto co często uważa się za **Fakty'10**:

1. Jesteśmy społeczeństwem niedokształconym i zacofanym, nasz system edukacji jest skostniały i źle zorganizowany, nadto w wyniku m. in. komunistycznej propagandy o wiodącej roli klasy

- robotniczej nie lubimy się uczyć, a wiedza nie ma w powszechnej opinii wielkiej wartości. Wg badań (za GW) 50% Polaków nie rozumie przekazu telewizyjnego, a nie jest to przekaz trudny. Jak więc do nich dotrzeć? Jak sprawić, by racjonalnie podejmowali decyzje?
2. Jesteśmy raczej zamknięci i pełni obaw, niechętni obcym, nieufni wobec zmian. W dużej mierze dlatego, że ich nie rozumiemy - p. pkt. 1.
 3. Demokracja jest (i była) intensywnie obecna w warstwie frazeologicznej (mam na myśli wycieranie nią gęby), ale nie rozumiemy mechanizmów jej działania: znaczenia stabilnego prawa, rozdziału funkcji publicznych, poszanowania niezależności sądów, niezbędności procedur demokratycznych. Tylko 20% Polaków (znowu odwołam się do badań opisanych przez GW) to osoby jako tako zorientowane w polityce i rozumiejące zasady demokracji. Oznacza to, że przy frekwencji wyborczej 50% dwie trzecie wyborców głosuje zupełnie przypadkowo.
 4. Jesteśmy społeczeństwem, w którym merytoryczne kryteria oceny, wyboru i awansu przegrywają z układami rodzinnymi, znajomościami i przekupstwem; myślimy, podobnie zresztą jak inne narody, egoistycznie i nieracjonalnie; wierzymy wbrew zdrowemu rozsądkowi, że można jednocześnie zjeść ciastko i je zachować, zaś nie lubimy tych, co mówią uczciwie, że to niemożliwe.
 5. Negatywna selekcja i karuzela stanowisk równie dobrze funkcjonują w naszej formie demokracji dlatego, że społeczeństwo nie spełnia swojej funkcji kontrolnej - p. pkt. 3.
 6. Wolność słowa nie spowodowała rozmnożenia wieszczów; przeciwnie, odnoszę wrażenie, że kultura „wysoka” przeżywa kryzys, a kultura popularna gubi się w nieudolnym kopiowaniu zachodnich wzorów. Telewizja czasu wolności jest równie głupia jak za prezesa Macieja Szczepańskiego. Marzył nam się serwis wiadomości na poziomie BBC - mamy kolejne kroniki wypadków ścigające się w pogoni za sensacją. Śmiem twierdzić, że środki masowego przekazu manipulując informacją mają duży udział w pogłębianiu podziałów społecznych i szerzeniu nastrojów pesymizmu.
 7. Ani wolny rynek, ani demokracja nie rozwiązały wszystkich naszych problemów; same regulacje prawne nie wystarczą. Skuteczność mechanizmów politycznych i gospodarczych zależy od tradycji konkretnego społeczeństwa. Poszanowanie prawa ze strony obywateli, „mało efektowne” wartości takie jak solidność, dokładność, punktualność i uczciwość, umożliwiły „cudy” gospodarcze Niemiec i Japonii. Akurat te cechy nie są naszymi mocnymi stronami. Z tych przyczyn, a także z powodu niedostatku zdolności organizacyjnych zapewne nie zostaniemy drugą Japonią. Mamy kłopoty z organizacją dużych publicznych inwestycji, na przykład komunikacyjnych, uporządkowaniem majątku narodowego, stworzeniem długofalowej wizji rozwoju państwa. Poważnym problemem jest ciągły wpływ młodych, wykształconych ludzi za granicę. Problemy nierozwiązane, co gorsza, pozostawione samym sobie, bez otwartej dyskusji, bez prób rozwiązania, można by długo wyliczać. Wygląda na to, że mocni jesteśmy jedynie w gadaniu, co dobrze ukazuje zestaw nagród Nobla, jakie Polacy otrzymali.
 8. Z wolnością nie poradził sobie ani Kościół ani Solidarność; autorytet Kościoła traci bardzo szybko na znaczeniu, pod ciosami wolności wręcz rozpadła się Solidarność, od obydwu organizacji odpłynęła poważna część środowisk intelektualnych i opiniotwórczych. To dowodzi, jak bardzo obie te organizacje były osadzone w komunizmie, jak słabo przygotowane były na zmiany ustroju, na społeczne otwarcie.
 9. Koszty zmiany ustroju w największej mierze poniosły wielkie zakłady - „sztandary Solidarności” i to jest najlepszy dowód, że nie ma sprawiedliwości dziejowej. Zapewne nie można było ich uratować, ponieważ nie pasowały do logiki wolnego rynku; ale można było ten proces złagodzić. W decydującym momencie zabrakło prawdziwej ludzkiej solidarności.
 10. Inwazja (to właściwe słowo) cywilizacji Zachodu oszołomiła nas i przytłoczyła, pod względem materialnym, kulturowym i obyczajowym. Zostaliśmy przygnieceni obfitością dóbr i koniecznością dokonywania co krok wyborów, których nigdy wcześniej nie dokonywaliśmy. Wciska się do nas zachodni, częściowo obcy styl życia i obyczajowość, która tam kształtowała się w drodze ewolucji i wieloletnich dyskusji, zaś w naszym, rozwijającym się w innych warunkach społeczeństwie, dynamika zmian zasługuje na miano rewolucji. Nic dziwnego, że wywołuje opory i zupełnie odmienne od oczekiwanych skutki. Widzimy w tym nowym, napływającym z zachodu świecie kolorowy chaos i zgiełk, zaprzeczenie porządku, podstawowych zasad, moralności. Zagubiona jest nawet elita, o czym świadczą radykalnie różne oceny Zachodu i naszej roli w świecie. Nie ogarniamy rzeczywistości, wszystkich jej parametrów, mechanizmów. W efekcie zaczynamy tęsknić za dawnym, prostym życiem. Jak

dziecko zasypane nadmiarem zabawek: kiedy ma zbyt duży wybór, traci zainteresowanie zabawą, zaczyna płakać i próbuje uciec.

Najprościej byłoby uznać, że zawiódł naród, w który tak wierzyliśmy. Niektórzy tak czynią. Być może myśli tak znaczna część tych, którzy postanowili niedawno opuścić kraj na stałe. Błąd jest jednak po **mojej stronie**. Obserwowałem/obserwowaliśmy naród w momencie niezwykłego w skali historycznej uniesienia, ofiarności, bezinteresowności, eksplozji inicjatyw obywatelskich. I pochopnie uznałem ten stan za normalny. Nic bardziej mylnego. Takie natężenie obywatelskiej aktywności nie ma (o ile wiem) precedensu w historii, może poza rzadkimi momentami mobilizacji w obliczu wielkich wojen. Codziennosc jest zupełnie inna: wszędzie na świecie ludzie są egoistami, myślą przede wszystkim o sobie i swoich najbliższych. O swoim zdrowiu, poziomie życia, majątku. Niewiele obchodzi ich interes wspólny, zwłaszcza kiedy jest przedstawiany przez nie cieszących się na ogół dużym zaufaniem polityków. Pod tym względem nie różnimy się zbyt od innych nacji. Życie okazało się bardziej złożone, niż naiwnie sądziłem. W dodatku, komplikuje się coraz bardziej. I przyspiesza, jak cały wszechświat. Niewykluczone, że kiedyś wymknie się całkiem spod kontroli rozumu.

Świat zachodni, z którym się identyfikowaliśmy, do którego tęskniliśmy i do którego powoli się zbliżamy, jest już zupełnie inny niż 30 lat temu. Wówczas wydawał się chyba bliższy kulturowo, był ostoją stabilności gospodarczej i politycznej, gwarantował ciągły wzrost dobrobytu. Uważaliśmy zatem, że wolny rynek i demokracja oferują najlepsze rozwiązanie problemów zwykłych ludzi. Dzisiaj działanie wolnego rynku, zwłaszcza w dziedzinie finansów, zaczyna budzić wątpliwości. Globalizacja gospodarcza nie wsparta międzynarodowymi regulacjami prawnymi może doprowadzić do napięć i nadużyć na skalę dotychczas nieznaną. Grozi nam kryzys powszechny. Psuje się system polityczny nawet w krajach o utrwalonej tradycji demokratycznej. Zwykli obywatele nie są w stanie ogarnąć wszystkich problemów, przed jakimi staje kraj. Rosnąca złożoność systemu powoduje, że wolny rynek i demokracja coraz gorzej spełniają swe funkcje regulacyjne. Co w zamian - nie wiadomo; niepewność rośnie.

Mimo różnych zastrzeżeń, gdybym nawet miał możliwość podróży w czasie, nie cofnąłbym się do poprzedniej epoki. Dzisiejsza wydaje mi się nieporównywalnie sympatyczniejsza, przede wszystkim dlatego, że stwarza każdemu znacznie większe możliwości wyboru swojej drogi. Jesteśmy krajem nieporównanie bardziej normalnym; cokolwiek się dzieje dobrego lub złego, dzieje się naturalnie. W tym sensie nie odbiegamy zbyt od innych państw europejskich. Nasza przyszłość w dużej mierze zależy od nas. Za niepowodzenia możemy mieć pretensje głównie do siebie, ale za to sukcesy to nasza zasługa. A sukcesów, jak spojrzeć na bilans ostatnich dwudziestu lat, jest sporo, **na wielu polach**, z wyjątkiem piłki nożnej. Kraj zmienia się bardzo szybko. Kto nie wierzy, niech wyjedzie stąd na rok. Po powrocie nie będzie miał wątpliwości. Wzrost standardu życia, przynajmniej w moim otoczeniu, jest wręcz imponujący. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że kiedykolwiek będziemy mieli takie możliwości.

Proces „zachodnienia” (nie chcę użyć słowa „normalnienia”, bo nie wszyscy tak uważają) odbywa się jednak jakimś kosztem: humoru. Trochę szkoda, że straciliśmy opinię najweselszego baraku w obozie. Nie tylko dlatego, że obozu już nie ma. Z jakiegoś powodu po prostu nie jest już tak wesoło. Nasza satyra, kabarety już tak nie śmieszają, niestety.

PS

Zaraz po przeczytaniu tego felietonu zadzwonił do mnie Jacek Kwaśniewski i zrugął mnie, że tekst zbyt smętny. Istotnie, miałem zamiar napisać artykuł pogodny i zabawny. Chciałem dobrze, a wyszło jak zwykle. Taki już jest polski zwyczaj, że szukamy wszędzie złych stron, jak ten pesymista, co widział butelkę do połowy pustą. Nasze pokolenie wychowało się w komunie. Może to już nie nasz świat, trudno się przyzwyczaić, szczególnie, że tak szybko się zmienia...

Odpowiedziałem Jackowi, że w Poglądach zajmujemy się tym, co lubimy, a ja lubię posmęcić. Jak typowy Polak. Ankiety wskazują, że mimo, iż Polacy własną sytuację oceniają jako dobrą, to ogólnie uważają, że świat zmierza w złym kierunku. Konia z rzędem temu, kto mi wyjaśni, dlaczego.


Maciek:

Tekst wręcz poraża pesymizmem. W moich oczach ten wydzwięk znacząco obniża wartość tekstu. Dla mnie i jak sądzę dla moich rówieśników zdecydowanie ciekawsze niż artykułowanie rozgoryczenia (skądinąd bardzo przypominające slogany PiSu) byłoby zrozumienie, skąd ono się bierze u waszego pokolenia.

Wiem, że rzeczywistość zweryfikowała wasze marzenia negatywnie, jednak, czemu jest aż tak źle? Czemu wasze pokolenie, które przeżyło coś tak niesamowitego jak odzyskanie wolności, tak narzeka? Nasze natomiast (o ile nie odziedziczyło duszy malkontenta po rodzicach) jest wesołe, ciekawe świata i zdaje sobie sprawę z możliwości, jakie przed nim stoją. Świadczy o tym choćby to, że ok. 80% młodych ludzi dziś studiuje (wiadomo, że duża część z nich się do tego nie nadaje, ale nie zmienia to faktu, że wiara w edukację jest zjawiskiem pozytywnym), wielu z nich jeździ do pracy za granicę, ale potem wraca (wczoraj strzygła mnie fryzjerka, która wróciła ze Szwecji). Jesteśmy nadal biednym narodem jak na Europę, ale młodzi ludzie nie muszą jechać za chlebem do Afryki (jak Portugalczycy do Togo) czy do biedniejszych krajów niż ich własna ojczyzna (niczym Grecy do Polski). Nie zostaniemy drugą Japonią? Ja nie chciałbym być drugą Japonią, tam ludzie pracują po 12+ godzin dziennie, a TV mają jeszcze 100 razy głępszą niż my. Co tam jest takiego oprócz kasy, co miałbym chcieć?

Problem, który ma nasz naród to kompleks niższości i wiara w to, że jesteśmy wyjątkowi (a przynajmniej powinniśmy być). Te kompleksy powodują, że Polacy są wiecznie niezadowoleni i nie zdolni do działania niczego wielkiego w świecie. Ale jeśli tylko przyjmiemy do wiadomości, że jesteśmy po prostu tacy sami jak inni, tylko, że póki co trochę biedniejsi i mniej „mądrzy społecznie” niż Europa Zachodnia, to okazuje się, że wcale nie jest tak źle. Mamy światowej sławy naukowców; młodzi polscy informatycy podbijają świat; nawet naukowców (sic!) stać na to by pojechać na narty do Francji, albo polecieć na wakacje do Azji... Krótko mówiąc, źle nie jest, choć mogłoby być lepiej. Ale lepiej zawsze może być i zamiast zaślaniać się niespełnionymi oczekiwaniami powinniście się skupić na ich spełnianiu.

Natomiast to, co może (i powinno) być krzepiącym przesłaniem od waszego pokolenia dla nas, jest wolność. To wy ją wywalczyliście i to jest ogromna zasługa waszego pokolenia! Na tym powinniście się skupić, cieszyć się, że wasze pokolenie wywiązało się z dziejowych obowiązków. A teraz nadeszło następne wyzwanie, jakim jest zbudowanie na tym fundamencie dobrobytu oraz systemu wartości w nowych czasach. I to wyzwanie należy do nas, nie do was. Chciałoby się rzec: spocznicie wy wreszcie na laurach i cieszcie się tym, co osiągnęliście, zamiast płakać nad tym, czego się zrobić nie udało.

 „Złudzenia i fakty 1981-2011. Dwugłós pokoleń” by Marek Cypryk & Maciek Cypryk is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Widziane z Ameryki

Marek Zieliński

Przyjechałem do Nowego Jorku 28 listopada 1981. Numer 16 Poglądów był już wydrukowany, numer 17 był w przygotowaniu. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że zamiast w rękach czytelników wylądował w archiwach bezpieki. Przyjechałem na roczny staż w New York University, z planami na rychły powrót do nowej, "Solidarnościowej" Polski. Plany te trwały tylko dwa tygodnie, do 13 grudnia, po czym zamieniły się w wysiłki sprowadzenia rodziny. Pamiętam pierwszy list, który wrócił niedoręczony, i następne, z dużymi stemplami "OCENZUROWANO".

Egzotyka

Wpadłem od razu w wir pracy na Uniwersytecie, mało było czasu na inne zajęcia. Trzeba było bardzo szybko doszlifować język, zamawiać przez telefon części do aparatury naukowej (z tego, co mówili prawie nic nie rozumiałem) i ją budować. Pamiętam moje wrażenia z Nowego Jorku, w którym czułem się od pierwszego dnia jak tubylec. W metrze facet lekko na bańce pyta mnie po polsku o drogę, ja mu tłumaczę, gdzie wysiąść, i żaden z nas niczemu się nie dziwi. Po przyjeździe z kraju, gdzie bez dowodu osobistego ze stemplem zameldowania nie można się ruszać, szokujący był fakt, że tu nikt nigdy nie pytał o paszport, a dowodem zamieszkania był pierwszy z brzegu list, który poczta doręczyła. W ogóle okazało się, że Stany Zjednoczone są krajem bardzo egzotycznym, i z tej perspektywy Polska (ciągle wtedy pod zaborem sowieckim) i np. Francja wcale się tak bardzo od siebie nie różnią. Egzotykę widziało się wszędzie. Głosowanie, które odbywa się co roku w "dniu wyborów" jest zawsze na osobę,

nie na partię. System podatkowy jest ochotniczy - na koniec roku piszesz, co w/g Ciebie jesteś winien (albo co rząd jest Tobie winny) i wysyłasz. Zakłada się zawsze, że mówisz prawdę. Karać, z małymi wyjątkami (np. mandat za parkowanie) może tylko sąd, a ten musi Ci udowodnić winę. Zakładanie firmy, polega na wypełnieniu formularza kupionego w kiosku, zgłoszeniu się w biurze dzielnicowym, aby zapłacić opłatę skarbową, i zadzwonieniu pod numer bezpłatny, aby dostać numer rejestracyjny (EIN, odpowiednik NIP) - razem ok 1.5 godziny pracy łącznie z dojazdem. Tego poziomu wolności osobistej i zaufania władz do ludzi nie widziałem wcześniej nigdzie w Europie.

Bardzo ciekawe zdarzenie w sposób dobitny ilustrujące tę egzotykę miało miejsce dziś, przy redagowaniu "Poglądów". Jeden z edytorów zakwestionował określenie "zrobił karierę", sugerując, że słowo *kariera* kojarzy się z karierowiczem. W USA słowa *kariera*, *sukces* mają bardzo pozytywne konotacje - do sukcesu się dąży, zrobienie kariery jest szczytem marzeń. Wiele lat temu aktorka Liv Ullmann zapytana w wywiadzie telewizyjnym czy już jako młoda dziewczyna marzyła o sukcesie i zrobieniu kariery odpowiedziała (cytuję z pamięci) "oczywiście że nie, takie myślenie byłoby grzeszne".

Instytut Piłsudskiego

Dzięki znajomym bardzo szybko trafiłem do Instytutu Piłsudskiego. Odbывał się tam właśnie cykl wykładów historycznych profesora Wacława Jędrzejewicza¹. Był on ostatnim żyjącym członkiem rządu międzywojennego, historykiem i założycielem Instytutu. Jego wykłady o historii Polski (spisane z taśm, będą wydane wkrótce) były zupełną rewelacją, nie tylko ze względu na zawartość - **historia, której nie uczono nas w szkole** - ale także na samą postać profesora, jego pasję i osobiste naświetlenie wydarzeń, w których brał udział. Miał fenomenalną pamięć, można mu było pokazać list bez daty czy podpisu, i zwykle był w stanie zidentyfikować autora i datę. Przychodziłem do Instytutu często, zawsze było coś do roboty, moja żona Asia pracowała tam przez jakiś czas przy opisywaniu archiwów. W tym czasie aktywny też był Komitet Pomocy Solidarności (Committee for Support of Solidarity), który organizował demonstracje, fundusze i publikował raporty. Poznałem tam Irenę Lasotę, która była bardzo czynna w tym ruchu, i Dave Phillipisa. Dave namówił mnie później na założenie czasopisma "Pigułki". Czasopismo to (ISSN 1060-9288) wydawane tylko w formie elektronicznej, najpierw w postaci tekstowej, potem również jako strona internetowa, istniało od czerwca 1990 do marca 1998. Wydawane było po angielsku, i zawierało felietony polityczne, wywiady i teksty satyryczne; skierowane było do Polonii i do osób interesujących się Polską. Publikowali w Pigułkach koledzy i koleżanki z Poglądów, politycy i działacze, tacy jak Radek Sikorski, Jurek Thieme czy Grześ Palka oraz autorzy przebywający na emigracji. Stałą sekcją Pigułek były *Kontakty Elektroniczne w Polsce* - zapis rosnącej światowej sieci komputerowej (o czym dalej), przeplatały się artykuły o komputerach, polityce i felietony satyryczne.

Do Instytutu Piłsudskiego powróciłem w 2001. Instytut przechodził w tym czasie duże zmiany, głównie pokoleniowe. Teraz, pod kierownictwem Magdy Kapuścińskiej przekształcił się w dynamiczną i aktywnie działającą placówkę historyczno-naukową. Wraz z zespołem wolontariuszy pracuję nad przeniesieniem tej szacownej instytucji historycznej w 21 wiek, tj. nad wprowadzeniem technik komputerowych, a przede wszystkim nad zabezpieczeniem przez digitalizację² i nad udostępnieniem przez Internet unikalnej spuścizny historycznej Polski i Polonii.

Sieci komputerowe

Powstanie światowej sieci komputerowej jest bez wątpienia najważniejszym wydarzeniem przełomu 20 i 21 wieku. Pierwsza sieć o zasięgu światowym, posiadająca email, chat, listserv (oryginalna lista dyskusyjna) itp. powstała w 1981 roku, kiedy Ira Fuchs z City University of New York i Greydon Freeman z Yale połączyli komputery IBM w obu uniwersytetach, używając istniejących protokołów komunikacyjnych. Tak powstał BITNET³ (Because It's Time Network), który w ciągu 10 lat połączył ze

¹ Więcej o Wacławie Jędrzejewiczu w [artykule w Wikipedii](#)

² Digitalizacja zasobów archiwalnych jest dość złożonym, wieloetapowym procesem wymagającym dużo pracy i dokładności. Kilka bardzo ciekawych kolekcji Instytutu, w tym archiwum Józefa Piłsudskiego, jest już publicznie dostępnych na stronie poświęconej [Archiwom Instytutu Online](#).

³ Historia Bitnetu jest na ogół mało znana, a w historii Internetu często pomijana. Na przykład Bitnet miał wbudowaną funkcję pogaduszek (późniejsze Gadu-Gadu w Polsce), które nazywało się Relay. Mało kto wie, że późniejszy system pogaduszek IRC (Internet Relay Chat) popularny w Internecie, jest bezpośrednim potomkiem

sobą około 3000 węzłów, głównie w instytucjach edukacyjnych. W 1985 roku powstał europejski odpowiednik Bitnetu, EARN. Polska też była kandydatem do podłączenia do tej sieci, ale uniemożliwiały to ograniczenia eksportowe USA. W 1988 powstała grupa dyskusyjna *Bitnet to Poland*, i różne próby ominięcia tych ograniczeń, akcje i petycje. Ira Fuchs i Stefan Amsterdamski byli aktywnie zaangażowani w tę akcję, zakończoną sukcesem w początku 1990 roku. W dniu 7 lipca 1990 roku pierwszy węzeł PLEARN⁴ został uruchomiony w Uniwersytecie Warszawskim, po czym sieć ta szybko rozprzestrzeniła się na inne uczelnie. Kolejne numery "Pigułek" przynosiły rosnącą listę instytucji i osób, z którymi istniało już połączenie poprzez Bitnet i inne sposoby kontaktów elektronicznych. Początkowo ograniczenia Cocom⁵ nie pozwalały na podłączenia Polski do innej sieci, która w latach 1986-88 zaczynała swoją światową karierę, a którą znamy teraz pod nazwą Internetu. Z czasem jednak i te utrudnienia zostały zniesione, Polska została uznana za kraj "bezpieczny" i w ciągu kilku lat Internet całkowicie wyparł EARN. Maczaliśmy palce i w tym przedsięwzięciu, kiedy w 1993 założyliśmy z kolegami firmę "Publiczny Dostęp do Internetu" (PDi), która dostarczała łącza internetowe najpierw w Łodzi, a potem w Toruniu, Warszawie, Bydgoszczy i Katowicach. Firma działała do 2001 roku.

Ciekawostką ilustrującą egzotykę USA w stosunku do Polski był początek firmy PDi. Aby rozpocząć "działalność gospodarczą" w Łodzi, potrzebna była rejestracja w sądzie. Ta rejestracja nie mogła się jednak odbyć, gdyż potrzebne było zezwolenie na świadczenie usługi „podłączenie do Internetu”, a ponieważ nikt nie wiedział, co to jest „Internet”, zaświadczenia tego nikt nie potrafił przez pół roku wydać. Na szczęście polski biznesmen z Kanady i kandydat na prezydenta Stanisław Tymiński miał podobny pomysł, a dysponując większą siłą przebicia uzyskał takie zaświadczenie od ręki, co posłużyło jako precedens i pozwoliło także nam zarejestrować firmę. I oto w ten naoczny sposób zrozumieliśmy działanie systemu, który popiera wynalazczość i innowację, ale tylko pod warunkiem, że ktoś inny już tego wynalazku dokonał. Subtelna, ale decydująca różnica polega na tym, że tu w USA nikt od nikogo żadnego zezwolenia nie wymagał.

Internet powstawał w duchu otwartości i kooperacji, i to głównie było podłożem jego sukcesu. Mimo obecnej komercjalizacji, idee te, mocno wbudowane w techniczną podstawę Internetu, są trudne do pokonania. W tak krótkim artykule trudno się pokusić o rozwinięcie fascynującego tematu historii Internetu⁶, jego twórców (takich jak Vint Cerf, Jon Postel czy Tim Berners-Lee, a w Polsce takich jak Rafał Maszkowski czy Andrzej Smereczyński). Internet rozwija się dalej i dalej zaskakuje nowymi pomysłami. Najnowsze 'wynalazki' w Internecie to Wikipedia, sieci ruchome i sieci socjalne, takie jak Facebook czy Google+. Sieci socjalne są tak obiecujące, że np. rosyjski potentat Yuri Milner zainwestował w prawie wszystkie, wyprzedzając o kilka okrażeń amerykańskich inwestorów.

Zmiany

Jak zmienił się świat przez te trzydzieści lat? Wydaje się, że szybkość zmian ciągle się zwiększa i że jedyną metodą na utrzymanie się na fali jest ciągła obserwacja i uczenie się w miarę powstawania nowych zjawisk. Używanie wiedzy ze szkoły, czy to 5 czy 20 lat temu, już nie wystarcza. Używanie własnych doświadczeń czy poglądów sprzed 40 lat może mieć bardzo negatywne konsekwencje.

Powstanie Internetu jest pierwszym takim zjawiskiem. Nie tylko było nieprzewidywalne, lecz spowodowało tak gigantyczne zmiany na świecie, że słowo "rewolucja" wydaje się do ich opisu blade jak wymoczek. Powstanie Internetu spowodowało zmniejszenie się świata na niespotykaną dotychczas skalę. Zdemonopolizowanie dostępu do informacji utrudnia ogromnie (choć nie uniemożliwia jeszcze całkowicie) działanie wszelkich reżimów⁷. Dostęp do wiedzy z każdego domu nie tylko skurczył świat, ale zmienił zupełnie sposób zdobywania informacji. Czasem, choć coraz rzadziej szuka się informacji w bibliotece, a i to tylko wtedy, kiedy Google czy Wikipedia nie dostarczą wystarczającej wiedzy.

Relay'u w Bitnecie. Bardzo krótka historia Bitnetu, "[Bitnet History](#)", dostępna w sieci, zawiera odnośniki do dalszych źródeł.

⁴ O powstaniu Polskiego PLEARN pisałem w Pigułkach ("How BITNET came to Poland", Pigułki #3, October 8, 1990), patrz też następne numery z rozwinięciem tego tematu przez innych autorów.

⁵ Krótka [Historia CoCom](#) jest do przeczytania w artykule w Wikipedii na ten temat.

⁶ Obszerna [Historia Internetu](#) po angielsku w Wikipedii.

⁷ Więcej na ten temat można przeczytać w książce *Open Networks, Closed Regimes: The Impact of the Internet on Authoritarian Rule* autorstwa Shanthi Kalathil (Carnegie Endowment for International Peace 2003).

Pokolenie urodzone w ostatnich 10 latach przyjmuje światową sieć jako coś normalnego, tak jak my elektryczność. Moja wnuczka używa już komputera choć jeszcze nie umie pisać. Czas zatrzymuje się dla każdego w innym momencie; znam ludzi z pokolenia Poglądów którzy do niedawna nie akceptowali Osobistego Komputera (PC), znam 90-letnie osoby z zapalem prowadzące emailowe konwersacje z przyjaciółmi i rodziną.

Postępy w nauce powodują, że wiedza wyniesiona ze szkoły czy uniwersytetu wymaga w prawie każdej dziedzinie poważnej weryfikacji. Jest to proces trudny, bo człowiek jest istotą konserwatywną, i z wielkim wysiłkiem pozbywa się głęboko utrwalonego przekonania czy wiary. Dla wielu z nas będzie to już niemożliwe, dopiero następne pokolenia przyjmą nową wiedzę jako pewnik. W astronomii dowiadujemy się, że to, co znaliśmy jako wszechświat stanowi jego małą (15%) cząstkę, a reszta jest nieznaną zagadką. Postępy w wiedzy na temat ewolucji rozbijają jeden po drugim zakorzenione pojęcia jak *Tabula Rasa*⁸ czy poglądy na temat źródeł etyki⁹. Postępy w genetyce i ewolucji¹⁰ mają nie tylko znaczenie filozoficzne, przybliżając nam naszych przodków i kuzynów, ale i praktyczne, bo wraz z nimi idzie postęp w biologii (wyżywienie świata) i w medycynie. Mimo niewątpliwych osiągnięć, wiedza ta jest postrzegana przez kościoły anglikańskie w USA (w odróżnieniu od de facto akceptacji Ewolucji przez kościół katolicki) jako zagrożenie, i ponawiane są próby wprowadzania kreacjonizmu a ostatnio "Inteligentnego projektu" do podręczników szkolnych jako alternatywa Ewolucji.

Zmiany nie oszczędziły również systemów światopoglądowych. Wolność Osobista i Demokracja ostały się wiatrowi czasu i wydają się być dalej podłożem, dla kolejnych wersji świata. Ale na przykład powstanie Internetu zadało (i ciągle zadaje) cios ewangelistom wolnokonkurencyjnego kapitalizmu, ponieważ Internet powstał nie na skutek konkurencji, a na skutek kooperacji ogromnej rzeszy zapaleńców. Nawet nasz jubileuszowy numer Poglądów jest wkładem w siłę Internetu. Nic złego w wolnej konkurencji, czy w ogóle w wolności - to wolność doprowadziła do powstania Internetu. Ale teza ewangelistów, łącząca sukcesy wolnego rynku z dobrobytem, nie sprawdza się w tym przypadku (owszem, były próby komercyjnych sieci, np. Comuserve, lecz nie przeżyły... z braku kooperacji). Mimo niepodważalnych danych, które mówią, że system zdrowotny w USA kosztuje od 2 do 3 razy więcej niż w reszcie uprzemysłowionego świata, ewangeliści walczą z reformami opieki zdrowotnej, wprowadzonymi przez administrację Baracka Obamy, proponując więcej tego samego, tj. "wolnorynkowego" kapitalizmu. Argumenty, pochodzące z danych empirycznych nie przemawiają, raz przyjęta ideologia jest nie do pokonania.

Trzecim rodzajem zmian, widocznych przy rosnącej skali przedsiębiorstw, jest zanik powiązania między wynikami finansowymi firmy a jakością jej produktu. Ta korelacja jest filarem kontraktu społecznego proponowanego przez teoretyków ekonomii. Ale dla wystarczająco dużych firm, bardziej opłacalne jest zatrudnienie lobbystów, nawet bardzo drogich, niż usprawnianie produktu, gdyż dobry lobbysta potrafi zapewnić firmie przywileje dające większe zyski¹¹. Widać to nieomal na co dzień: duże firmy wywalczają korzystne dla siebie zmiany w systemie podatkowym (General Electric w/g raportów płaci 0% podatków przy 35% stopie podatkowej dla przedsiębiorstw), zdobywają wyłączność na kontrakty rządowe na korzystnych dla siebie (ale nie dla podatników) warunkach, albo przeciwnie, wywalczają sobie ustawę zabraniającą rządowi negocjowania cen produktów (Medicare part B¹²). Inne

⁸ Świetny przegląd współczesnej wiedzy na temat "Natura czy wychowanie" z analizą najnowszych wyników naukowych daje książka Stevena Pinkera *The Blank Slate: The Modern Denial of Human Nature*, Penguin 2002. Warto też przeczytać *The Nurture Assumption: Why Children Turn Out the Way They Do* autorstwa Judith Rich Harris (Free Press 2009), rewolucyjne wprost spojrzenie na ten temat. Nie uwierzycie, do jakich konkluzji dochodzi autorka po zbadaniu dowodów rzeczowych i analizie wyników badań.

⁹ Zacytuję tylko dwie książki na początek studiów: *Why Good is Good: The Sources of Morality*, Robert A. Hinde (Routledge, 2002) i *The Science of Good and Evil: Why People Cheat, Gossip, Care, Share, and Follow the Golden Rule*, Michael Shermer (Holt Paperbacks, 2004)

¹⁰ Wśród bardzo obszernej literatury, nazwisk takich jak Stephen Jay Gould czy Daniel C. Dennett, na początek sugerowałbym grubą, ale pasjonującą *The Ancestor's Tale: A Pilgrimage to the Dawn of Evolution* Richarda Dawkinsa (Mariner Books 2005)

¹¹ Zob. np. *So Damn Much Money: The Triumph of Lobbying and the Corrosion of American Government*, Robert G. Kaiser (Vintage, 2010).

¹² Reforma systemu Medicare (opieka medyczna dla osób na emeryturze) w 2003 wprowadziła nowe zasady płacenia za lekarstwa. Jednocześnie z tymi zasadami, na skutek intensywnego lobbingu, dodała do ustawy regulę,

organizują sobie przywileje przez np. przedłużenie praw autorskich (która z firm nie chciałaby dostać za darmo dodatkowego 50 letniego monopolu na swój produkt?). Przy braku zorganizowanej opozycji, lobbyści wygrywają za każdym razem. Ostatni kryzys "bankowy" jest również wynikiem takiego trendu. Zarówno w jego podstawach, na skutek systematycznego osłabiania regulacji i nadzoru (w wyniku nacisków lobby) przez administrację George W. Busha, jak i w samych posunięciach prawnych, które w efekcie wyzwoliły kryzys¹³.

Zmieniła się też (na gorsze) kultura i poziom dysput politycznych. Tradycja, w której dyskutowało się temat, ale po głosowaniu przyjmowało się prawo takim, jakie jest, ulega w ostatnich latach dużej erozji. Symptomatycznym początkiem tych zmian było oskarżenie prezydenta Billa Clintona o uchybienie godności urzędu (impeachment) w 1998 roku. Od tego czasu ataki na przeciwników politycznych są coraz bardziej niewybredne, a co gorsza, opozycja po dojściu do władzy przeznaczająca ogromną ilość wysiłku na demontaż tego, co osiągnęła poprzednia ekipa. To do złudzenia przypomina budowanie domu, gdzie w połowie wysokości zmienia się majster, i zamiast budować dalej, najpierw rozbiera wszystko do fundamentów. Dyskusje i artykuły o polityce są prawie nie do czytania, bardziej przypominają plakaty wojenne (obu stron) z czasów wojny polsko - bolszewickiej 1919-1920¹⁴, niż rozsądne polemiki. Nie jest to wyłącznie amerykańskie zjawisko. Po lekturze polskich gazet (oczywiście przez Internet), należałoby wziąć płyn do okien i oczyścić ekran z błota. Badacze natury ludzkiej wyjaśniają, że odwołanie się do instynktu zagrożenia i walki jest dużo skuteczniejsze niż odnoszenie się do intelektu. Co więcej, raz stworzony i przyswojony przez człowieka system wierzeń jest bardzo trudny do zmiany¹⁵. To jednak nie tłumaczy, dlaczego ten fenomen stał się dominujący dopiero w ostatnich latach.

Opisane powyżej zjawiska wywołują społeczny, spontaniczny sprzeciw, czym zaskakują polityków i firmy (te mocniej zaskoczone firmy już nie istnieją, politycy tracą swoje stanowiska, a w bardziej drastycznych przypadkach życie), co widać na przykładzie najnowszych wydarzeń. Ruch *Occupy Wall Street* jest innym przypadkiem takiego sprzeciwu, wyrosłego z frustracji, gdy przytulne stosunki banków z legislaturą wydają się być dalej kontynuowane, mimo kryzysu, którego koszty wciąż ponoszą podatnicy. Open Source¹⁶ w dziedzinie oprogramowania jest w tej chwili największym źródłem software'u w Internecie i dalej rośnie w siłę. Open Source oznacza, że kod źródłowy (to, co pisze programista) jest otwarty, dostępny dla wszystkich i każdy może ten kod modyfikować. W odróżnieniu od praktyki Microsoftu czy Apple, które zabezpieczają ten kod w najgłębiej schowanych sejfach, aby nikt go nie zobaczył. Creative Commons¹⁷ wyrosło z kolei jako protest przeciwko nadmiernie

według której rząd USA nie ma prawa negocjowania cen leków z ich producentami. Jest to jeden z powodów, dla którego ceny leków w Europie są średnio niższe o 40% w porównaniu z USA.

¹³ W dramatycznych dniach na przełomie września i października 2008, Senat USA przegłosował plan ratowania banków (tzw. TARP) na sumę 700 miliardów dolarów. Ustawa została odrzucona przez Kongres, co spowodowało spadek giełdy (DJIA) o 770 punktów. W najbliższych dniach, po negocjacjach, dodano do ustawy poprawki. W szczególności były to ulgi podatkowe dla producentów filmów w USA, przedłużenie ulg podatkowych dla właścicieli torów wyścigowych, dla producentów portorykańskiego rumu, zwolnienie od podatków producentów drewnianych strzał dla dzieci i inne. Po dodaniu tych poprawek ustawa przeszła, co jednak wtedy już nie wystarczyło, aby zahamować spiralę upadku.

¹⁴ "Propaganda w wojnie polsko-sowieckiej", wykład Konrada Paduszka w Instytucie Piłsudskiego w Ameryce, 16 listopada 2010. Patrz też tegoż autora "Działalność propagandowa służb informacyjno-wywiadowczych WP w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1919-1921" (wydawnictwo Adam Marszałek, 2004)

¹⁵ Patrz np. Michael Shermer, *The Believing Brain: From Ghosts and Gods to Politics and Conspiracies - How We Construct Beliefs and Reinforce Them as Truths* (Times Book, 2011)

¹⁶ Po polsku "Otwarte oprogramowanie". Jest sporo literatury na temat tego ruchu. Warto przeczytać książkę Stevena Webera *The Success of Open Source* (Harvard University Press, 2005). Autor argumentuje w niej, że ogromny sukces Open Source nie jest jakimś odstępstwem od "reguł ekonomii", a wprost przeciwnie, nowym i zaskakującym trendem w działaniu gospodarki. Patrz także: oficjalna strona [Open Source Foundation](#), i krótki artykuł w PCWorld [Open Source vs. Proprietary Software](#)

¹⁷ [Creative Commons](#) to międzynarodowa organizacja wspierająca dzielenie się twórczością, współpracę i innowacje poprzez otwarte rozwiązania prawne.

restrykcyjnym prawom autorskim¹⁸ i pozwala aby autor, w ramach tych praw, udzielił powszechnej licencji na używanie jego prac.

Perspektywy

Trzydzieści lat temu walczyliśmy o wyzwolenie kraju spod okupacji. Oficjalnie chodziło o "Solidarność", ale wszyscy wiedzieli, że chodzi o usunięcie Sowietów i wprowadzenie polskiej (a może nawet demokratycznej) władzy. Ten etap mamy już za sobą. O co powinniśmy walczyć dziś? Dla mnie wybory są jasne. Konserwatyzm, czy "zachowanie starego" musi być zredukowany, bo wszystko na świecie przyspiesza. To, co ludzie intuicyjnie odbierają jako słuszne, bo tak było 50 lat temu, często jest dziś zupełnie nieistotne. Musimy postawić na młodych ludzi możliwie nie obciążonych ideologią tego czy innego koloru, takich, którzy potrafią na czas wyciągnąć wnioski z tego, co się dzieje. Postępów w nauce nie da się zatrzymać, bo człowiek ma wbudowany pęd do poszukiwania prawdy; postępów w technologii nie da się zatrzymać, bo człowiek jest z natury swojej wynalazcą. Politycy o sztywnej, tradycyjnej, konserwatywnej ideologii i wierzeniach przestają widzieć rzeczywistość taką jaka jest, i budzą się poniewczasie z ręką w nocniku. Czasy, kiedy zmiany można było odłożyć na 50, 30 czy 20 lat, skończyły się bezpowrotnie. Świat jest pełen zdumiewających wydarzeń we wszystkich działaniach ludzkiego intelektu, trzeba tylko chcieć ten świat zrozumieć¹⁹.

 „Widziane z Ameryki” by Marek Zieliński is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-nc/3.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Jak umocnić naszą przyjaźń i jeszcze na tym zarobić. Do przyjaciół z Redakcji

Jacek Kwaśniewski

<http://jacek.kwasniewski.eu.org>

Wiem, jesteśmy przyjaciółmi od trzydziestu lat. Ale przyznacie, że więzi się rozluźniają. Maile krążą między nami rzadziej. Niektórzy w ogóle zamilkli. Spotykamy się też nie za często.

A mnie się marzy, aby to wszystko wyglądało inaczej. Czy nie byłoby fajnie, gdyby zamiast zdawkowych maili: „widziałam ciekawy film” albo „jadę do Londynu, może tam będziecie?” ktoś napisał mnie do z autentycznym zainteresowaniem i troską: „jak się Jacku czujesz?” albo „jak tam twoje zdrowie?” albo „jestem ciekawy, czy nadal biegasz”. Wy z pewnością też nie mielibyście nic przeciwko temu. I gdyby każdy chciał jak najczęściej się spotykać i zobaczyć przyjaciół... Nie chcę niczego na kimkolwiek wymuszać. To powinno płynąć z serca. Ale czy to jest możliwe?

Otóż tak!

¹⁸ Warto przeczytać np. *Free Culture: The Nature and Future of Creativity* autorstwa Lawrence Lessiga (Penguin, 2005). Lessig jest dyrektorem Edmond J. Safra Foundation Center for Ethics w Harvard University i profesorem prawa w Harvard Law School.

¹⁹ Na koniec chciałbym polecić jeszcze jedną książkę, *The Social Animal: The Hidden Sources of Love, Character, and Achievement* (Random House 2011). Napisał ją David Brooks, konserwatywny dziennikarz i felietonista New York Times'a oraz komentator w publicznej telewizji PBS. W oparciu o najnowszą wiedzę o "naturze człowieka" - podkreślam, że chodzi o naukową wiedzę, nie filozofię - przedstawia nam zbeletryzowane losy dwojga ludzi, którzy żyją współcześnie, i analizuje zachowanie ich i ich otoczenia. Jeśli zgodzimy się z autorem, czeka nas duży szok - będziemy musieli pozbyć się mitów na temat człowieka zdolnego do "racjonalnych wyborów" czy "logicznego rozumowania". Tego typu książki powinny być lekturą obowiązkową dla polityków, na których miałbym głosować.

Póki co, wszyscy żyjemy. Ale patrząc na nasze zdjęcia i zaglądając do metryk, trzeba być realistą: bliżej nam do końca niż do początku. Nie należy na to zamykać oczu. A przecież tę sytuację moglibyśmy wykorzystać dla dobra nas wszystkich. Mówię to jako szczerzy przyjaciel, ale i jako finansista.

Pomysł jest bardzo prosty i aż dziw nie wpadliśmy na niego wcześniej. Idea jest taka, że robimy zrzutkę, obstawiamy typy i czekamy. W końcu ktoś się przeniesie na łono Abrahama. Ten, kto obstawił trafnie zejście, zgarnia pulę. Jeśli umrze ktoś, kogo nikt nie typował, dorzucamy składkę i jest kumulacja. To zawsze podnosi adrenalinę. Jeśli znowu będzie niespodzianka, znowu dorzucamy i jest podwójna kumulacja. W końcu ktoś trafi.

W ten prosty sposób śmierć każdego z nas nie tylko będzie powodem smutku. Zanim nastąpi, zaczniemy się sobą znacznie bardziej interesować i ożywiać nas będzie autentyczna chęć wymiany nowinek i w ogóle orientacji, co tam słychać. Wraz z biegnącym czasem maile zamiast wysychać, będą coraz częstsze, podobnie jak odwiedziny, by się zobaczyć.

Pieniądze nie są tu istotne, ale im stawka będzie wyższa, tym wszystko nabierze żywszych rumieńców. Więc powinniśmy grać w miarę wysoko. A że nasze portfele nie są jednakowe, niech każdy oceni, na ile go stać i niech tyle da. Powiedzmy, że minimum to 400 euro a maksimum – dowolne.

Dla tych, którzy nie są jeszcze do tego pomysłu zupełnie przekonani mam pewne wyliczenie: jeśli dziesięcioro redaktorów Poglądów zrzuci się po siedemset euro, a wygrana padnie dopiero za drugim razem, czyli po pierwszej kumulacji, będzie wtedy wynosić, bagatela, czternaście tysięcy euro! Nie licząc odsetek! Sami widzicie, że to nie jest gra o pietruszkę. A przy okazji może naprawdę ożywić nasze wzajemne kontakty. I jednocześnie zyskamy nadzieję, że śmierć przyjaciela być może przyniesie także wymierną pociechę.

Po wypłacie wygranej zakłady są powtarzane aż do chwili, gdy zostają tylko dwie osoby. One są ostatecznymi zwycięzcami i nie muszą dostawać żadnych pieniędzy. Wystarczy satysfakcja, że przeżyli całą resztę.

A wracając do zasad: można typować tylko jedną osobę i nie wolno siebie. Większość z nas wie, jak się miewa i wykorzystanie dla zarobku niedostępnej dla innych informacji o własnym bliskim końcu byłoby nieuczciwe. Na giełdzie jest to traktowane jako przestępstwo, tak zwane *insider trading*. Idzie się za to do więzienia.

Tak więc wybieramy kierownika zakładów, daję mu określoną kwotę i zaklejony list, w którym piszę na przykład: stawiam tysiąc złotych na Cypryka. A Drygalski pisze: kładę osiemset złotych i obstawiam Jacka Kwaśniewskiego. I tak dalej.

Kogo wybrać na trzymającego kasę? No takiego, który daje największą szansę przeżycia, powiedzmy następnych piętnastu lat. No to się rozejrzyjmy. Jak zobaczyłem zdjęcie Pawła z ostatniej imprezy, to go nie poznałem. Nieźle się posunął. Więc nie on. Zieliński taki jakiś nalany, czerwony. Może to ciśnienie... Jeszcze go trafi apopleksja... Maćka nie widziałem całe lata, więc nie mam pojęcia, ile jeszcze może pociągnąć i w związku z tym wolę nie ryzykować. Jordan jest OK, ale z naszego punktu widzenia ma bardzo ryzykowną pracę. Otacza go mnóstwo młodych dziewczyn. Że tak się w życiu urządził, można mu tylko pozazdrościć, ale jak się te młódki dowiedzą, że starszy pan ma taką kasę... Drygalski, owszem, żwawy, szczupły, biega po Łazienkach, chodzi po górach. Ale tacy często sprawiają niespodzianki. Niby zdrowy jak rydz i nagle buch – nie ma człowieka. No, a poza tym ten wiek... Małgosia, no cóż, okazem zdrowia nie jest. Ale nie jej kręgosłupem się martwię. Raczej tym, że pali. Statystyki są nieubłagane. Cypryk z kolei ma tak młodą i atrakcyjną zonę, że – jak znam życie – za bardzo się forsuje. Serce długo nie wytrzyma.

Zostają ja i Kasia. Ja odpadam, bo w każdej chwili grozi mi wylew. Wiecie, serce, arytmia, przedsionki, migotanie, trzepotanie. Od razu też mówię: jeśli po wylewie zostanę rośliną, nie ma sensu czekać, aż zwiędnę do końca. Należy Cyprykowi, bo to on z pewnością postawi na mnie, choćby za tę złośliwość przed chwilą, wypłacić całą pulę. Rośliny nie wracają do normalnego życia, a poza tym, nie chcę Was narażać na rozterki moralne. Bo dostaję wylewu, a Cypryk zagryza nerwowo palce i dzwoni raz po raz pytając o moje zdrowie. Stan jego umysłu to klasyczna ambiwalencja. Z jednej strony chce, abym wyzdrowiał, ale z drugiej już policzył, że jakby co, mógłby za wygraną kupić dobry aparat fotograficzny.

I jeszcze jedno. Jeśli po wylewie zamienię się w warzywo, ktoś zgarnie wygraną, a ja cudem wrócę do żywych, powinienem za całe zamieszanie zapłacić jakąś karę. Na przykład tyle, ile dostał zwycięzca. Wygrywający nic nie zwraca, bo nie jest winien, że Kwaśniewski znowu się okazał niepoważny. Ja zaś wpłacę z wielką chęcią, bo Łazarzem nie jest się codziennie. Chyba, że wcześniej, będąc w fazie roślinnej, zostaną migiem ubezwłasnowolniony, a rodzina, co do której nie mam złudzeń, cały mój wielki majątek zdąży już rozgrabić i roztrwonić.

Tak więc skarbnikiem zostaje Kasia. Jest najmłodsza z nas. Przyznaje się do czterdziestu dwóch lat, co mnie zresztą trochę dziwi, bo wychodzi na to, że sekretarzem redakcji Poglądów była trzydzieści lat temu osoba dwunastoletnia. Która twierdziła, że ma skończone studia. Ale co tam, wystarczy spojrzeć - w porównaniu z nami to siksa.

To w zasadzie wszystko. Oczywiście jeszcze trochę szczegółów trzeba dopracować. Na przykład, powinno się mieć możliwość zmiany typowania. Bo postawiłem na Cypryka, lata mijają, a on się miewa znakomicie, zaś Drygalski marnieje w oczach. Tyle, że taka zmiana powinna kosztować, na przykład muszę wpłacić dodatkowo dwie swoje stawki i nie można tego robić częściej, niż co dwa, trzy lata. Inaczej, jakby się wieść rozniosła, że ktoś jest w stanie terminalnym, od razu przerzuciłbym na niego swoje typowanie (i chyba nie tylko ja) i wygrana w przeliczeniu na twarz skurczyłaby się do śmiesznych rozmiarów.

listopad 2011

Prawa autorskie artykułu „Jak umocnić naszą przyjaźń i jeszcze na tym zarobić. Do przyjaciół z Redakcji.”, autor Jacek Kwaśniewski są zastrzeżone. Wszelkie rozpowszechnianie lub powielanie na jakichkolwiek polach dystrybucji wymaga zgody autora. Kontakt z Jackiem Kwaśniewskim pod adresem mailowym: jacek952@gmail.com.



30 lat temu i dziś. Jak było, jak jest, co będzie?

Konrad W. Tatarowski

I.

30 lat temu łódzka „Solidarność” była podzielona na dwie, niechętnie do siebie nastawione, ale przecież płynące w jednym kierunku, odnogi tej samej rzeki. Po jednej stronie był Zarząd Regionu „Solidarności” w Łodzi z przewodniczącym Andrzejem Słowikiem i wspierającymi go ekspertami i działaczami, wywodzącymi się głównie z przedsiernpniowego ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Kilku z nich: Benedykt Czuma, Stefan Niesiołowski i Andrzej Woźnicki redagowało oficjalny organ związkowy – „Solidarność Ziemi Łódzkiej”.

Po drugiej stronie byli ludzie związani wcześniej z Komitetem Obrony Robotników (potem KSS KOR), wydający pismo „Solidarność z Gdańskiem”, działający w oparciu o duże zakłady przemysłowe (ZPB „Marchlewskiego” i „Polanil”) i współpracujący z kierownictwem „Solidarności” w tamtych zakładach. Byli oni również inicjatorami wielu wartościowych przedsięwzięć artystycznych, wydawniczych, społeczno-politycznych. Dla uzupełnienia obrazu wymienić też trzeba środowiska związane z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów, Konfederacją Polski Niepodległej, Ruchem Młodej Polski i inne grupy, pozostające poza ruchem związkowym, ale tworzące załóżki demokratycznego społeczeństwa.

„Poglądy” – z którymi związałem się ostatniej fazie ich istnienia (nawet nie pamiętam, kto zaproponował mi wejście do Redakcji tego dwutygodnika – czy była to Kasia Modrzejewska, czy może Jerzy Drygalski albo Jacek Kwaśniewski?) starały się pozostawać poza kręgiem partykularnych sporów i waśni, zajmując wszakże stanowisko wobec spraw ważnych w wymiarze szerszym. Pełniły po trosze rolę wewnątrzwiązkowej opozycji, nie mając wszakże szans na konkurowanie z „Solidarnością Ziemi Łódzkiej” ze względu na niewielki nakład i wąski, głównie akademicki, krąg czytelników. Zarówno profil pisma, jak i jego skład osobowy, bardzo przypadły mi do gustu. Wierzyłem jeszcze wtedy, że

rozum, nawet w wielkich grupach ludzkich (a taką grupą o nieznanym właściwie rozmiarach i nierozpoznanym charakterze była „Solidarność”) **nie śpi**, i że upiory mieszkają wyłącznie po drugiej stronie barykady, to znaczy tam, gdzie komuna, władza. Było to oczywiście myślenie naiwne - co jednak wcale nie oznacza, że praca intelektualna, formacyjna, prowadzona w „Poglądach” była niepotrzebna. Była potrzebna w myśl zasady: *róbmy swoje*, a także dla potwierdzenia słuszności stwierdzenia Marcina Lutra, który spytany: *co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, że jutro będzie koniec świata*, odpowiedział – *sadziłbym jabłonie*.

Wracając do przerwanej wątku - kiedy dziś, z dużej perspektywy czasowej, patrzę na zarysowany jak wyżej obraz niezależnego życia społeczno-politycznego w Łodzi *anno domini* 1981, bez emocji (których wtedy było za dużo po obu stronach), nasuwa mi się refleksja, że tak być powinno. Model walki między Zarządem Regionu „Solidarność” a KOR-owskim „ruchem alternatywnym” był przecież – załączkowym co prawda i ograniczonym przez totalistyczne struktury komunistycznego państwa – ale **demokratycznym** systemem relacji między władzą a opozycją. Być może dzięki tej rywalizacji, w okresie owych *16 miesięcy wolności*, w Łodzi działo się dużo i dobrze (oczywiście w relacji do ówczesnej sytuacji gospodarczej i politycznej).

II.

Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku ustawiło wszystkich po jednej stronie. Wylądowałem wtedy w łęczyckim więzieniu jako internowany. Sytuacja była jasna, klarowna i jednoznaczna: dla naszych rodzin, które przychodziły na widzenia, dla naszych przyjaciół, którzy poza murami mówili o każdym z nas: *internowany*. Po drugiej stronie był klawisz, esbek, sprzedajny dziennikarz w okienku telewizora, materialni nośnicy tej władzy, która 13 grudnia zrzuciła resztki poszarzałej ideologicznej szaty, chroniąc się wyłącznie za pancerną zasłoną czołgów, pałek i gazów łzawiących.

Dekret o stanie wojennym spowodował, że opozycyjny *ekstremista* i *prawdziwy* (co miało znaczyć: *apolityczny*) działacz związkowy spotkali się w tej samej więziennej celi. Dla wielu związkowców internowanie oznaczało szok: *przecież ja nie jestem żaden ekstremista, na pewno jutro mnie wypuszczą*. Kryło się za tym przekonanie, że komuniści kierują się w swych działaniach jakimiś regułami „sprawiedliwości”, a zatem jeżeli w gazetach potępiają *ekstremę*, to znaczy, że tylko *ekstremistów* będą zamykać. Przyjmowano tym samym – wraz z identyfikacyjnym **to nie my – to oni** – tezę, że wykreowana przez propagandę *związkowa ekstrema* jest bytem jak najbardziej realnym. Szukając uzasadnień dla swojej *czystej działalności związkowej* i odzegnując się na równi od polityki oficjalnej i od grup opozycyjnych – nie postrzegali zasadniczej cechy systemu komunistycznego, który ich *niezależne* działania (właśnie dlatego, że *niezależne*), nieuchronnie waloryzował jako *polityczne*.

Ekstremiści stanowili grupę liczną i najbardziej zróżnicowaną, a zarazem konsekwentną w swoich poglądach. Wywodzili się z różnych środowisk, przeważnie inteligenckich. Do opozycji należeli od czasów przedsierniowych (KOR, KPN, RMP, ROPCiO), młodszy związani byli z niezależnym ruchem studenckim. Nie mieli złudzeń (ja ich na pewno nie miałem), co do istoty systemu władzy w PRL i w związku z tym nie byli zaskoczeni faktem pozbawienia wolności (co oczywiście nie oznacza, że fakt ten akceptowali).

W więziennych celach mogliśmy się nawzajem lepiej poznać. I choć czasem dochodziło do ostrych polemik, nawet kłótni – to można powiedzieć, że dzięki temu wielu działaczy „Solidarność”, którzy początkowo byli przekonani, że zostali przez władze PRL skrzywdzeni (*bo przecież ja byłem prawdziwym związkowcem*), wychodzili z więzienia świadomi, że nie padli ofiarą pomyłki władz. Że spotkała ich kara właśnie za to, że byli *prawdziwymi związkowcami*. Że pragnąc być dla władz partnerem, a nie potulnym przedmiotem manipulacji, nieuchronnie znaleźli się na pozycji *politycznych graczy*, jak w monologu Jacka Fedorowicza: *kto chce powietrza, ten chce władzy!*

Dla mnie wszakże i mojej rodziny okres internowania oznaczał podjęcie ważkiej egzystencjalnej – rzecz by można, przywołując Jaspersa – **granicznej** decyzji. Granicznej zresztą również w sensie dosłownym. Niedługo po brutalnej pacyfikacji internowanych w Kwidzynie w sierpniu 1982 r. (opisałem to wszystko kilkanaście dni po wspomnianych zdarzeniach w odręcznie napisanym raporcie z Kwidzyna, który adresowałem na ręce Prymasa Polski - opublikowałem go po latach pod tytułem „A to Polska właśnie...” w „Tyglu Kultury” i w książce „Kwidzyn. W niewoli brata mego...”) po długim i głębokim namyśle, wspólnie z żoną – podjęliśmy decyzję o emigracji, z paszportem w jedną stronę.

Czy była to prosta konsekwencja aktu przemocy, którego byłem świadkiem? Zapewne nie, bo przecież, jak zaznaczyłem wcześniej, nie miałem żadnych złudzeń co do natury systemu władzy w PRL. Była to konsekwencja utraty wiary w racjonalność działań podejmowanych po **naszej** stronie. Bo łatwość, z jaką zrealizowano wtedy, w Kwidzynie, scenariusz prowokacji, była przerażająca. A poza tym wiedziałem, że po zwolnieniu z internowania stracę posadę na uczelni – termin obrony doktoratu, do którego materiały miałem zebrane, mijał bezpowrotnie. Było jasne, że władze wykorzystają ten fakt skrupulatnie. Ruszyliśmy więc (z dziewięcioletnią córką i szykującym się do przyjścia na świat synem) w nieznaną rzeczywistość zachodniego dobrobytu i blichtru z nadzieją, że jakoś się wszystko ułoży.

Z czasem rzeczywiście się ułożyło – dzięki pracy w Rozgłośni Polskiej RWE mogłem kontynuować swoje zainteresowania, rozwijać je i pogłębiać – a także (w roli dziennikarza, i to na dodatek radiowego! – nigdy wcześniej nie przyszłoby mi na myśl, że mogę pełnić taką rolę) uczestniczyć w procesie kruszenia monopolu komunistów na decydowanie o losach Polski. Poszło to wszystko gładko i szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

III.

Z monachijskiej oddali oglądałem proces tak zwanej transformacji ustrojowej i przejmowania władzy przez „naszą” stronę, która zresztą w owym dziele przejmowania władzy i odpowiedzialności nie była konsekwentna. Jak to określił Jan Nowak-Jeziorański, *węzeł małżeński zawarty z komuną przy okrągłym stole nie został w porę przecięty*. Nierozliczone pozostały komunistyczne zbrodnie i nadużycia, wprowadzona zbyt późno i niekonsekwentnie stosowana ustawa lustracyjna pozostaje właściwie prawem martwym, albo działającym bardzo wybiórczo. Wielu aparatczyków i funkcjonariuszy dawnego reżimu „uwłaszczyło się” i wchodzi dziś w skład nowej elity finansowej. Cała przestrzeń władzy sądowniczej – skostniała i zastygła w minionej epoce – pozostaje przykładem zwycięstwa ducha korporacyjnego nad interesem ogółu i zdrowym rozsądkiem. Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro, którzy próbowali w tej dziedzinie coś zmienić, zostali uznani przez wiodące media za szkodników i oszołomów. Mógłbym te wyliczankę ciągnąć dalej, poszerzyć ją o degradujący się coraz bardziej system edukacji szkolnej na wszystkich poziomach, fatalną sytuację w służbie zdrowia, etc. - ale kto ma oczy sam widzi (choć widzi inaczej, bo przecież *punkt widzenia zależy od punktu siedzenia*).

W każdym razie, wracając do początków ery transformacji w Polsce, szybko się okazało, że „naszej” strony już właściwie nie ma – że są tylko opanowane żądzą przejęcia władzy grupy interesów, skupione w równie szybko powstających i znikających ze sceny partiach politycznych. Te bratobójcze wojny o władzę zaowocowały zwycięstwem postkomunistów w wyborach w 1993 roku. Ruszyło wahadło demokratycznego zegara – by na początku nowego stulecia zacząć się obracać po jednej tylko, postsolidarnościowej stronie (między PO a PiS), co wcale nie oznaczało jednak ani wzrostu poziomu kultury politycznej, ani stylu rządzenia uwzględniającego szersze potrzeby społeczne.

Jeżeli obecnie połowa społeczeństwa nie uczestniczy w wyborach – to znak tego, że proces wyobcowania władzy w Polsce wcale nie skończył się wraz z upadkiem komunizmu, a coraz częściej słyszane (*kto ma uszy, ten słyszy*) westchnienia: *komuno wróć!* świadczą być może nie tylko o nieuleczalnej głupocie ludzi, którzy je wydają. Jeżeli w III Rzeczpospolitej czują się obco – to czy to tylko ich wina?

IV.

Kiedy po raz pierwszy po siedmiu latach nieobecności (w lipcu 1990 r.) przyjechałem do Polski, swoje wrażenia zapisałem w skondensowanej formie w wierszu „W Łodzi po siedmiu latach”:

*Te same uliczki i chodniki
na których można się przewrócić
nawet bez wypicia
jednego kieliszka
żytniówki
Te same domy
w szarej perspektywie
światlika odnowy
i odpadających tynków*

ponadczasowych
 Ci sami ludzie Te same
 tematy rozmów
 Te same wnioski
 które nasuwają się
 jako oczywiste
 Tyle że Komuny już nie ma
 I sami zostaliśmy
 sieroty bez ojczyzna
 którymi czasami
 dawał
 w dupę

Od tamtej pory minęło 21 lat, od wprowadzenia stanu wojennego – 30 lat. Mój syn, którego nie było na świecie, kiedy wyjeżdżaliśmy z Polski, jest dorosłym człowiekiem. Moja córka jest matką dwojga dzieci i mieszka pod Londynem.

V.

Inne jest dziś wszystko, choć w wielu miejscach pozostały krzywe chodniki i dziury w jezdniach. Ale rozpoczynając od uginających się od wszelakich dóbr półek sklepowych – a kończąc na politycznym usytuowaniu Polski w Unii Europejskiej i NATO, żyjemy w innym świecie, otwartym, demokratycznym i wolnym. Inny jest też klimat życia społecznego, politycznego, intelektualnego. Kontury rzeczywistości, w której żyjemy zatraciły ostrość i jednoznaczność. W miejsce klarownego, łatwo rozpoznawalnego wroga – który przyszedł z zewnątrz i po II Wojnie Światowej przyniósł obcy polskiej tradycji system totalistycznej władzy – pojawiły się nowe zagrożenia, nowe wirusy zła, czasem trudne do rozpoznania i zdefiniowania.

Niektóre przyszły z zewnątrz: terroryzm, komercjalizacja wartości, agresywna (i przybierająca coraz bardziej dogmatyczną postać „świeckiej religii”) ideologia „politycznej poprawności”. Ujawniły się też zagrożenia, których sami jesteśmy źródłem i przyczyną z powodu niezdolności do kompromisu, małostkowej chęci „dokopania” politycznym przeciwnikom, którzy w demokratycznych wyborach zdobyli władzę. Wystarczy przypomnieć żenujący popis uśmiercenia PO - PISu, w fazie embrionalnej, siłami jego twórców, dwu partii, które powoływały się na solidarnościowy etos.

Wypadałoby przy okazji poświęcić akapit roli mediów masowych, które bynajmniej przez cały ten okres nie ograniczały swoich kompetencji do klasycznej roli czujnego obserwatora i stróża demokratycznych reguł, tropiciela nieprawości, zwłaszcza po stronie władzy, mądrego nauczyciela, prowadzącego społeczeństwo do zrozumienia spraw tego świata. Najbardziej Poczytna Gazeta rychło stała się nie tyle medium (tzn. pośrednikiem), ile ideologicznym batem na wszystko, co nie służy jej wizji postępu i rozwoju. Wzięła się za formowanie *nowego człowieka*, odpowiadającego standardom niezwykle *pluralistycznego* (bo jakże inaczej, pluralistycznego *z definicji*, a zatem niepodlegającego dyskusjom) warszawskiego salonu [opisał go już dobre sto lat wcześniej wieszcz Mickiewicz w „Dziadach”]. Sekundował jej dzielnie Brat Młodszy – gadający obrazami TVN, a telewizja publiczna, ciągle sprowadzana do parteru przez mnożące się pomysły jej uzdrawiania, starając się trzymać elementarne standardy dziennikarskie, popadała w coraz dalej idącą frustrację. Mimo wszystko, na tym tle, wypada ona najlepiej – zwłaszcza I i III program, gdzie ciągle znaleźć można interesującą publicystykę, teatr, filmowy dokument (zwłaszcza filmy BBC, emitowane w III programie, grubo po północy).

VI.

Co więc mamy dziś?

- Demokrację z przyprawioną świńską mordą i sztucznym penisem faceta, którego nazwiska wymieniać się nie godzi. Witanego po ogłoszeniu wyborów w Najbardziej Poczytnej Gazecie zdjęciem na całą stronę, z kwiatem we włosach, co prawda bez podpisu: *Pasterzu Prowadź!* - i bez umieszczonych w tle Juhasów: wydawcy „Faktów i mitów” i czołowego ich redaktora, mordercy księdza Jerzego Popiełuszki.

- Hordy bandziorów przybywających z bratnią pomocą w zwalczaniu „faszystów” na ulicach Warszawy – przychodzących z Zachodu; może tu jest postęp? za moich czasów „bratnia pomoc” (Węgrom,

Czechom i Słowakom) zawsze przychodziła ze Wschodu! A nam – proszę bardzo – pomagają Niemcy, jak najbardziej zachodni.


Czy za rok, kiedy wywieszę biało-czerwona flagę przed moim domem – przyjdą ten dom podpalić?

Kiedy piszę ten tekst, dokonuje swego bytowania w realnej rzeczywistości „Tygiel Kultury”, jedyne od 15 lat pismo kulturalne w Łodzi. Związałem się z nim od pierwszych lat powrotu do Polski, z racji przyjaźni z jego założycielami, Zbigniewami Dominiakiem i Nowakiem, ale przede wszystkim dlatego, że było to pismo kontynuujące najlepsze tradycje polskiego piśmiennictwa. Najpierw odmówiono mu dotacji z Ministerstwa Kultury (które hojnie wyposażyło „Krytykę Polityczną”, wspieraną zresztą również przez władze Warszawy, udostępniając temu pismu prawie za darmo lokal w centrum stolicy; z tego lokalu, pod nazwą – czy to ironia? „Nowy Wspaniały Świat” – bojówkarze „Antify” atakowali polskich patriotów).

Władze Łodzi, zanim przyznały „Tygłowi” dotacje, zażądały wkładu własnego, którego jednak nie wolno wydać do czasu podpisania umowy z miastem, co może mieć miejsce dopiero po rozstrzygnięciu konkursu. W ubiegłym roku nastąpiło to pod koniec czerwca, a przecież czasopismo ukazuje się od stycznia do grudnia i z czegoś trzeba pokryć wydatki w pozostałych miesiącach. Wszelkie wydatki ponoszone przed podpisaniem umowy, choć wydawane na realizację kolejnych numerów czasopisma, nie są uwzględniane w rozliczeniu zadania. W tej sytuacji wyliczono, że „Tygiel Kultury” musi spłacić 20 000 zł „długu” wraz z lawinowo rosnącymi odsetkami za rok ubiegły. Prośby kierowane do prezydent Łodzi, Zdanowskiej, o rozłożenie długu na raty, lub rozliczenie go wydawnictwami, pozostały bez odpowiedzi.

VII.

Cóż więc napisać w ostatnim akapicie: **Co będzie?** Wiem, że nie będzie „Tygła Kultury”. I że wchodzimy w jakąś nową epokę (po ponad półwieczu bez wojen w naszej strefie geopolitycznej) starć i konfliktów o charakterze ideologicznym. Pomiąłem tu całą sferę makropolitycznych wstrząsów i zmian, w sferze finansów i gospodarki, które obserwujemy każdego dnia. Na tym się nie znam, i interesuje mnie to tylko o tyle, o ile rosną lub maleją cyfry na wydrukach z bankomatów. I to by było – jak powiadał mistrz Stanisławski - na tyle. A właściwie – na razie.

 „30 lat temu i dziś. Jak było, jak jest, co będzie?” by Konrad W. Tatarowski is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/). W oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com



Historia „Poglądów”

Początki "Solidarności" w CBMiM PAN

Wkrótce po podpisaniu porozumień sierpniowych odbyło się w CBMiM PAN zebranie dotyczące powstania nowych związków zawodowych. Obecne władze ZNP (z Piotrem Kielbasińskim na czele) podały się do dymisji. Dyskutowano, czy dołączyć się do powstającej Solidarności czy do Związku Nauki, czy też stworzyć zupełnie niezależną organizację. Po dość burzliwych obradach postanowiono wyłonić komisję/delegację, która zbada sytuację i przygotuje rekomendacje. Piotr Kielbasiński został przewodniczącym tej komisji, a w jej składzie miał być delegat z każdego zakładu. Marek Cypryk namówił Marka Zielińskiego, aby został delegatem. Za kilka dni miało być w IPPT PAN Warszawie zebranie powstałego już 10 września 1980 r. Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty (NSZZ PNTiO), zwanego "dziewięcioliterowcem". Pojechali na nie Piotr Kielbasiński i Marek Zieliński. W Warszawie okazało się, że związek ten, z już opracowanym statutem i po miesiącu działalności, był na etapie samorozwiązania się. Początkowo NSZZ PNTiO wystąpił do Komisji Krajowej "Solidarności" o przyjęcie go w drodze wyjątku na prawach jednego z regionów, ale Solidarność odmówiła, aby nie stwarzać precedensu. Na tym zebraniu, któremu przewodniczył Karol Modzelewski, było już wiadomo że NSZZ PNTiO się rozwiązuje, choć nie odbyło się jeszcze walne zebranie, które miało podjąć te decyzje.

Takie też wiadomości przywiozła delegacja do Łodzi, i mimo oporów małej grupy zawiedzionych, deklaracje zgłoszenia do nowego związku opiewały już na NSZZ "Solidarność".

Komisja Nauki

Komisja Porozumiewawcza Nauki powstała na zebraniu organizacyjnym, które odbyło się 10 października 1980 w sali wykładowej CBMiM PAN na Bocznej 5. Na zebraniu byli reprezentanci/tki uczelni Łódzkich, PAN-u i branżowych instytutów badawczych. W skład komisji weszli przedstawiciele pięciu szkół wyższych, PAN i dwudziestu pięciu instytucji naukowo-badawczych. Marek Zieliński został przewodniczącym Komisji.

Zebrania odbywały się regularnie w tejże sali na Bocznej. Często przychodził na zebrania Jurek Kropiwnicki (zwany *Kropką*). W którymś momencie padło hasło stworzenia biuletynu informacyjnego. Komisja Nauki w całości zaaprobowała ten pomysł i już w połowie listopada zaczęliśmy organizować biuletyn. Potrzebny był naczelny i redakcja. Delegat z Uniwersytetu, Marek Bielacki z biblioteki Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ zaoferował się znaleźć kogoś na uczelni.

Powstanie „Poglądów”

Paweł Jędrzejewski dowiedział się o powstawaniu biuletynu od Marka Bielackiego. Stefan Niesiołowski zwerbował Małgosię Kępczyńską, a Mariusz Januszewski został (chyba) wydelegowany przez COBR'y. Marek Zieliński namówił do współpracy Marka Cypryka. Pierwsze zebranie odbyło się w CBMiM PAN na ul. Bocznej, wieczorem, w połowie października 80 roku, w słabo oświetlonej salce na parterze, po lewej stronie od schodów. Byli tam Marek Cypryk i Marek Zieliński z PAN; Paweł Jędrzejewski z UŁ, Małgosia Kępczyńska z UŁ i Mariusz Januszewski jako delegat COBR'ów.

Zezwolenie na działalność wydał od ręki członek prezydium MKZ (Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego) - Antoni Kabza z Pabianic (Paweł Jędrzejewski jeździł do niego w tej sprawie). MKZ (już nie pamiętam kto) miał jednak obawy o wypuszczenie z rąk kontroli nad takim czasopismem, i zgodziło się tylko pod warunkiem, że biuletyn ten będzie występował jako dodatek do "oficjalnego organu", tygodnika *Solidarność Ziemi Łódzkiej*. Dopisek "Dodatek" zniknął dopiero w numerze 13, z datą 29 września 1981. Drugie zebranie redakcji było u Małgosi, przy Piotrkowskiej, obecny był Adam Nowaczyk - spoglądający na nas życzliwym okiem.

Paweł, jako najbardziej doświadczony dziennikarsko w grupie, został mianowany redaktorem naczelnym. Wkrótce dokooptował Maćka Siwickiego z PŁ i Marcina Oko z Muzeum Historii Włókiennictwa - obaj to jego kumple z liceum. Marek Cypryk wciągnął jeszcze Jacka Jordana z Muzeum Sztuki.

Oto garść wspomnień. Niektóre fakty zostały różnie zapamiętane przez różne osoby, a więc mogą się powtarzać.

Paweł:

Atmosfera pierwszego spotkania na Bocznej miała w sobie coś konspiracyjnego. Biuletyn bez państwowej cenzury! Od podpisania porozumień sierpniowych minęło zaledwie kilka tygodni i sytuacja związku była trudna do zdefiniowania. Nie mieliśmy wizji tego, jak powinny wyglądać "Poglądy" (nie pamiętam kto i kiedy zaproponował tę nazwę). W założeniu miał to być zaledwie informator o sprawach lokalnych, ale już na drugim spotkaniu redakcyjnym, w mieszkaniu Małgosi, widać było, że nasze ambicje do tego się nie ograniczą. Wejście do redakcji historyka - Jacka Jordana wzmocniło to przeświadczenie.

Kasia:

Moje pierwsze spotkanie z redakcją było na Bocznej, w atmosferze robienia czegoś nowego i świetnego. Propozycję pracy (na etacie) dostałam od Pawła Jędrzejewskiego, który uczył mnie na kulturoznawstwie i jakoś zauważył. Na początku odpowiedziałam dość luźno, bo to był czas mojego oczekiwania na paszport. Miałam zamiar wyjechać po studiach do Paryża. Odpowiedź z biura paszportowego przychodziła wtedy późno, chyba po miesiącu od złożenia podania. Póki co nie wiedziałam, jak się to potoczy, choć mogłam się domyślać, że władze mi paszportu odmówią, co też się stało. Wówczas (z początkiem kwietnia) weszłam oficjalnie do Poglądów, była to już wiosna 81 roku. Pierwszy numer ze mną w stopce miał datę 14 kwietnia 1981 roku. Pracowałam w pokoju na drugim (tj. ostatnim) piętrze w MKZcie. Jurek właśnie zaczynał, nie było jeszcze wtedy Jacka, ani Radka, (doszedł później i wymyśliłam mu tytuł rubryki "Lektury spoza cenzury"). A Marcina Oko już nie było. Maciek zajmował się bardzo pilnie składaniem liter tytułów (Letrasetem!). Wszyscy mu w tym pomagaliśmy.

Paweł:

Wiosną 81 roku, gdy wydawanie "Poglądów" nabrało już pewnego rozpędu i wymagało systematyczności, stało się oczywiste, że potrzebna jest osoba, która byłaby w stanie koordynować całość, poświęcając temu zajęciu więcej czasu, niż ktokolwiek z nas. Musiała być energiczna, przebojowa intelektualnie i stanowcza, bo czasami trzeba było twardo stawiać sprawy w MKZcie, gdzie z niektórymi działaczami związkowymi rozmawiało się dość trudno. Kasia idealnie spełniała te wymagania, więc zaproponowałem jej etat, który wcześniej uzyskałem od Kropiwnickiego. Była jedyną osobą zatrudnioną formalnie w redakcji na pensji związkowej.

Kasia:

Marek Zieliński ostro pilnował "księgowania" wszelkiej korespondencji. Chodziłam co wtorek na konferencje prasowe do Kropiwnickiego, w których brali udział również dziennikarze z oficjalnej łódzkiej prasy i radia.

W naszej redakcji pojawiało się sporo rozmaitych ludzi, wpadali, albo z jakąś sprawą, albo bez. Przychodził doc. A. Kaszyński z Instytutu Włókien Chemicznych (został delegatem środowiska łódzkiego do komisji do rozmów z Komisją Rządową w sprawie samorządności i postulatów placówek naukowych). Sporo rozmawialiśmy. Opowiadał mi np. jak w latach 50-tych, latem, nawet w upały chodził zawsze w grubym swetrze i ze szczoteczką do zębów.

Co jakiś czas, dość regularnie telefonowałam do Zirka Sadowskiego, by mu przypomnieć, że obiecał nam swój tekst. Bardzo uprzejmie nadal obiecywał. Niestety nigdy nie zdołał go nam przysłać.

To były czasy przedtechnologiczne. Za duży sukces poczytywałam sobie zdobycie w MKZcie nowej maszyny do pisania. Radość wielka trwała krótko, zaledwie kilka miesięcy. 13 grudnia całkiem jeszcze nową maszynę ukradli nam ludzie z Lutomińskiej (siedziba SB), jak i całą resztę naszego „majątku”. Mieliśmy np. ciekawy zbiór rozmaitych wydawnictw niezależnych oraz archiwum druków.

Dzisiaj w dobie aparatów cyfrowych i telefonów komórkowych, którymi wszyscy nieustannie robią zdjęcia, żal mi, że nie mamy nawet jednej fotografii z redakcji Poglądów w pokoju w MKZcie.

Strajk studentów

Małgosia:

Strajk łódzkich studentów, który rozpoczął się w grudniu 1980 roku był dla mnie jednym z mocniejszych przeżyć. Zostałam bowiem oddelegowana przez redakcję „Poglądów” do pisania sprawozdań z jego przebiegu. A ten był barwny i obfitujący w momenty zarówno groźne jak i anegdotyczne. Najpierw trzeba wspomnieć o odwadze i świetnym przygotowaniu chłopców prowadzących negocjacje. Natomiast obecni pracownicy naukowci Uniwersytetu Łódzkiego, zapewne z ostrożności, pełnili tu zazwyczaj funkcje hamulcowych. Profesor Seweryński jak mógł starał się zbagatelizować problemy i postulaty studentów.

Nie tu miejsce, by je przedstawiać, bowiem historia strajku została już detalicznie omówiona w różnych opracowaniach. Co innego fakty anegdotyczne. Kiedy wreszcie udało się ściągnąć na strajk ministra Górskiego, ów zupełnie nie wiedział, co z tym fantem zrobić i łatwo się denerwował.

Wówczas, z chrześcijańskim przesłaniem i wzywaniem do zgody, wkroczył profesor Seweryński. Studenci protestowali między innymi przeciwko nauczaniu wyłącznie filozofii marksistowskiej, a minister Górski utrzymywał, że wcale tak nie jest. Tak się zdarzyło, że dysponowałam firmowaną przez niego instrukcją i ją odczytałam. Pokazałam w ten sposób, że minister „mija się z prawdą”. Zaskoczyło mnie wówczas, że nie skomentował tego żaden pracownik naukowy UŁ. Chociaż nie powinno to dziwić; przecież wszyscy bali się szlabanu na wyjazd na Zachód.

Drukowanie

Pierwsze numery były drukowane w wydziale poligraficznym ZPP (Zakładów Przemysłu Pończoszniczego) "Zenit". Urocza, nieśmiała blondynka z Textilimpexu, Sławka Zathey, pośredniczyła w druku: odbierała od nas materiały do druku i pilnowała, by za kilka dni nakład był gotowy do odebrania.

Marek Z:

Przy numerze 7 mieliśmy kłopoty z drukowaniem. Pamiętam, że jeździliśmy po Łodzi i szukaliśmy papieru. Zanieśliśmy go do jakiejś innej niż nasza zwykła drukarni. I tam kierownik powiedział, że on gazetki z KORONIEM (to był zlepek KOR i Kuronia) nie wydrukuję. Numer 7 ma nalepkę "Numer opóźniony z powodu trudności poligraficznych". Trzeba było negocjować, nie pamiętam jak się skończyło, ale w końcu wydrukowali.

Od połowy 1981 roku drukowaliśmy "Poglądy" już bardziej oficjalnie, w Zakładzie Małej Poligrafii ZR NSZZ "Solidarność" Ziemi Łódzkiej, na ul. Piotrkowskiej 260.

Marek C:

Drukowane egzemplarze otrzymywaliśmy w formie wielkich arkuszy papieru, które trzeba było pociąć i złożyć. Do cięcia woziliśmy cały nakład na ul. Andrzeja (Struga), do drukarni mieszczącej się w fabryce słodczy "Optima". Potem składaliśmy ręcznie. Zwykle kilka egzemplarzy zabierałem od razu w stanie surowym i składałem sam. Pech chciał, że ostatni numer, 17, Kasia zawiozła do drukarni w całości. Po dwóch dniach wprowadzono stan wojenny i cały numer oczywiście przepadł. Nie zachował się ani jeden egzemplarz. A był to świetny numer! Niestety, nie zachowały się nawet rękopisy tekstów (wszystko zgarnęła bezpieka z szuflad naszego redakcyjnego biurka). Po kilku dniach pojechałem do drukarni prosić kierownika, by dał mi przynajmniej jeden egzemplarz na pamiątkę. Przyznał się, że bezpieka nie zdążyła tego jeszcze wywieźć, ale odmówił używając argumentu, który mnie wprawił w zdumienie i dlatego pewnie zapadł w pamięć. Stwierdził mianowicie, on, człowiek niespełna czterdziestoletni, że za mało zostało mu do emerytury. Już wtedy, jak widać, młodzi Polacy marzyli tylko o życiu na koszt państwa. Ten 17 numer Poglądów albo został skazany na przemiał, albo gnije do dziś w kazamatkach gmachu bezpieki na Lutomierskiej. Może ktoś ma tam dojścia?

Spotkanie z Markiem Edelmanem

Spotkanie z Edelmanem odbyło się w mieszkaniu Adama. Chcieliśmy zrobić materiał o marcu 68 i naciągnąć Edelmana na wspomnienia, ale się wymigiwał. W rezultacie nic chyba nie napisaliśmy. Ogólny ton jego słów do nas sprowadzał się do apelu o unikanie radykalizmu. Miałem wrażenie, że martwił się, co wyniknie z tej całej, ogólnej sytuacji, że dostrzegał zagrożenia (PJ).

Paweł:

Materiał o marcu 68 roku miał zawierać także wspomnienia innego z łódzkich lekarzy, który ze względu na pochodzenie był wtedy szykanowany. Pojechałem do niego, po uprzednim telefonicznym ustaleniu spotkania, aby przeprowadzić z nim wywiad. Gdy dowiedział się, jaki jest dokładnie cel mojej wizyty, odmówił. Powiedział mi wprost, że nie wierzy w sukces tego, co się dzieje, a nie chce już drugi raz przechodzić przez to, co spotkało go po 68, gdy odwilż się zakończy. Skwitował krótką rozmowę ze mną czymś w rodzaju "zapomnieli o mnie i niech już tak zostanie".

Kropiwnicki

Jerzy Kropiwnicki był zwierzchnikiem redakcji Poglądów z ramienia MKZ.

Marek C:

Pamiętam Twoje, Kasiu, kontakty z Kropą. Kropa lubił, rozmawiając z kimś, nadeptywać mu na czubki butów. Ty wyrwałaś swój bucik z obcasem i tym obcasem przyłożyłaś mu z rozmachem w duży palec u nogi. Kropa jęknął. Pomyślałem wtedy: ognista dziewczyna...

Kasia:

Epizod z Kropą był na początku września 81 na jakimś zjeździe lub walnym zebraniu w zakładach na Piłsudskiego, chyba to już Widzew. Pojechałam, by przyjrzeć się obradom. Kropa w kularach przywitał mnie, nadeptując. Do tego miał sarkastyczny uśmieszek i spytał - co słyhać. Wkurzył mnie i pomyślałam, jaki to niewychowany typ. Zareagowałam tak, jak pamiętasz, co go chyba zdziwiło. Odpowiedziałam przy tym, że u mnie bardzo dobrze, a jak on się czuje? Poczucie się musiał tak sobie, bo użyłam całej mojej siły w stopie, w rewanżu.

Sesja wyjazdowa w Borowej

Kasia:

Było to latem (może w czerwcu) na lotnisku Marka Zielińskiego w Borowej pod Łodzią. Pojechaliśmy na 2-3 dni, na sesję wyjazdową. Upał, pięknie, Marków dwie córeczki były małe, ciągle któraś się przewracała, uczyły się chodzić... Na pewno był też Jacek Jordan. Pamiętam, jak opowiadał cały wieczór o swych poglądach liberalnych (Chyba raczej demokratycznych, nigdy nie był zwolennikiem liberalizmu - MC) (Chyba raczej po prostu republikańskich - PJ) etc. Bardzo miło było w ogóle, gwiazdy, przed domem ogromne drzewo - może dąb? Świetna atmosfera.

Paweł:

To na pewno było w czerwcu i wieźliśmy do Borowej truskawki. A to drzewo to był chyba kasztanowiec. Pamiętam, między innymi, że wieczorem słyhać było wtedy (w Borowej) pociągi

przetaczające się za lasem (lub pod lasem) i nam się to dudnienie szyn kojarzyło z tym, że "już wchodzi":) Atmosfera była bardzo mile apokaliptyczna!

Wejda czy nie wejda

Wiele naszych rozmów na zebraniach redakcji, szczególnie w drugiej połowie 1981 obracało się wokół tematu "Wejda czy nie wejda". Dominowało trochę zdziwienie, dlaczego jeszcze nie weszli - jakoś nie wyobrażaliśmy sobie, że inwazja zostanie wykonana własnymi siłami.

Paweł:

Stemple w paszporcie z przekroczenia granicy potwierdzają, że wyjechałem z Polski 2 września 1981. Pamiętam sprzedawane Markowi Cyprykowi meble, pamiętam, że odbierał je razem z swoim Tatą. Był to sam koniec sierpnia 81. A wcześniej mieliśmy długą, nocną rozmowę, w moim małym fiacie (znów ten fiat!) i twierdziłem, że wejda, a co najmniej - zduszą, a Marek - że nie. Na krótki dystans - miałem niby rację. Na długi - Marek. Chociaż nikt nie wszedł.

Marek C.:

Logika rozumowania Pawła była porażająca. Nic dodać, nic ująć. Wynikało z tego, że komuna nie popuści, zdławi nasz ruch i na dziesięciolecie wybije nam z głów nasze mrzonki. Jedynym logicznym wyjściem było: wyjechać z kraju, póki czas. Moja reakcja była dowodem, jak silny jest w człowieku mechanizm obrony przed racjonalnym rozumowaniem. Pomyślałem sobie mianowicie: ee tam, jakoś to będzie...

Stosunki z „Solidarnością Ziemi Łódzkiej”

Kasia:

Pamiętacie naszą wyprawę na zjazd prasy niezależnej do Ursusa? Byliśmy na nim we trójkę – Marek Cypryk, Paweł Jędrzejewski i ja. Czy to było w czerwcu 81? Siedzieliśmy przy długich stołach nakrytych zielonym sukniem, paliliśmy bez przerwy carmeny, bo było raczej nudnawo. Naprzeciwko nas – koledzy zza ściany – Niesiołowski oraz bracia Terleccy, krzywo na nas patrzyli.

Paweł:

Zapamiętałem emocjonalne wystąpienie przeraźliwie wówczas młodego Blumsztajna (na Zjeździe Prasy Związkowej w Ursusie), w którym martwił się, że prasa związkowa zależna od MKZ nie będzie miała odwagi krytykować działań związku. Redakcja Solidarności Ziemi Łódzkiej patrzyła na nas zawsze z rezerwą, ponieważ uważała nas za "liberałów", a oni mieli poglądy bardziej "narodowe" (stawiam te przymiotniki w cudzysłowie, bo chodzi tu jedynie o zasygnalizowanie pewnych stereotypów, przez których pryzmat postrzegaliśmy się nawzajem). Jednak kiedyś na drzwiach naszej redakcji pojawił się napis, który wskazywał, że te emocje muszą się jakoś wyładować w czynach. Napis głosił coś w rodzaju: "KOR - Żydzi", co z pewnością nie było zamierzone jako komplement pod naszym adresem, chociaż odebrałem to wówczas jako swoiste docenienie.

Kiedyś, na półpiętrze budynku, gdzie mieściła się redakcja, miałem okazję rozmawiać na ten temat z Benedyktem Czumą i pamiętam, że straszliwie serio i z autentyczną troską ostrzegał mnie przed groźbą kosmopolityzmu, która rzekomo miała wisieć nad redakcją "Poglądów":) Uspokajałem go, że mamy wspólne i znacznie większe zmartwienia.

Wyjazd do Poznania

W czerwcu 81 grupa z redakcji pojechała na odsłonięcie pomnika w rocznicę Czerwca 56 do Poznania. Były gigantyczne tłumy ludzi przewalające się jakimiś straszliwie ogromnymi alejami w Poznaniu, ale topografia miejsca jest dla nas nie do odgadnięcia po prawie 30 latach.

Kasia:

Pojechaliśmy autokarem, chyba zorganizowanym przez MKZ w rocznicę wypadków poznańskich, po raz pierwszy obchodzoną uroczystością. Upał, stanie na jakimś placu, dość długo, bo szły przemówienia etc. Potem - premiera *Człowieka z Żelaza*, tłumy. W drodze powrotnej komentowaliśmy bardzo krytycznie film, ja i Paweł. Uważaliśmy, że to nie jest Wajda od „Człowieka z marmuru”, ale każda nasza krytyka niespodziewanie kończyła się zdaniem, że wprawdzie nie był tak dobry jak z marmuru, ale warto było go zobaczyć... Widocznie chcieliśmy, aby był dobry, bo wiadomo, że w porównaniu do pierwszego, „Człowiek z żelaza” był o wiele słabszym filmem.

Paweł:

Krytykowaliśmy film Wajdy, ale jednocześnie mieliśmy świadomość, że zrobienie tego filmu w tak krótkim czasie i w tak chaotycznej sytuacji było wyczynem na dużą skalę. Wajda powtarzał wtedy, że "dzisiaj film jest jak gazeta" i "Człowiekiem z żelaza" udowodnił, że miał rację. W końcowej scenie pojawia się jakiś partyjny dygnitarz i mówi "porozumienie podpisane pod przymusem jest nieważne". Odebrałem wówczas te słowa bardzo serio, a po pół roku dzień 13 grudnia potwierdził ich "proroczy" sens.

Kasia:

Cała wyprawa miała charakter odświętno-patriotyczny, chodziło głównie o wolność - wreszcie można było świętować to, co do niedawna było zakazane.

Paweł:

Po powrocie do Łodzi wydarzył się drobny incydent, który początkowo totalnie zlekceważyłem. Wspominam tu o nim, bo jest ilustracją kolorytu tamtych dni i prowadzi do anegdotycznego spotkania z Kropiwnickim.

Mój mały fiat był zaparkowany przed katedrą, dość blisko siedziby redakcji. Gdy ruszałem z parkingu, wsiadło do mojego samochodu dwóch gentlemanów. Miałem wrażenie, że jakoś sami sobie otworzyli drzwi, które były zamknięte. Trochę to było dziwne. Poprosili o podwiezienie. Wyszli w okolicach ZOO. Zapomniałem o tym już za chwilę.

Parę dni później odwiedziło mnie w domu dwóch tajniaków. Przynieśli mi wezwanie na komendę. Ci faceci, których podwoziłem, napadli rzekomo na kogoś tuż przed wsiadnięciem do mojego samochodu, ktoś zapisał numer rejestracyjny samochodu, którym uciekli (mojego małego fiata), a więc ja byłem tym, który zapewnił im ucieczkę:)

Trudno było tak od razu ocenić, czy jest to autentyk, czy podpucha. Miałem stawić się na komendzie następnego dnia. Pojechałem więc rano do MKZ-tu powiedzieć komuś o tej sytuacji. Po prostu, żeby wiedzieli.

Rozmawiałem z Kropką. Akurat zastałem go stojącego nad biurkiem, które zalegały ulotki dotyczące najwyraźniej jego osoby: prymitywna karykatura pokazywała dwoje małych staruszków klęczących przed wielkim osiłkiem, który wznosił nad nimi kij! "Dymek" wychodzący z ust poniewieranego starca zawierał błagalne wezwanie do oprawcy: "Daruj, synku! nie bij!". Napis pod rysunkiem głosił: "Jerzy Kropiwnicki znęca się nad rodzicami" - czy coś w tym sensie:). Kropiwnicki jak zahipnotyzowany wpatrywał się bez ruchu w rysunek (najpewniej produkt ulicy Lutomierskiej) z sardonicznym uśmiechem.

Na komendzie okazało się, że nic ode mnie nie chcą, poza przejrzeniem katalogów fotografii łódzkich przestępców i rozpoznaniem moich pasażerów sprzed kilku dni. Niestety wśród setek zdjęć nie zobaczyłem żadnych znajomych twarzy, poza jednym kumplem z podstawówki.

Akcja Kiosk

Naszej redakcyjnej działalności towarzyszyły również śmieszne momenty. Zadzwoiła do nas kiedyś sprzedawczyni z kiosku na Widzewie (już do redakcji w MKZ na Piotrkowskiej), której rozwścieczony tłum chciał przewrócić kiosk, bo podejrzewał, że ukryła papierosy. Pojechali tam Kasia Modrzejewska i Paweł Jędrzejewski interwencyjnie, prawie "na sygnale" (oczywiście słynnym małym fiatem Pawła). W akcji "Kiosk" brała również udział Małgosia. To ona, jako jedyna, weszła do wnętrza kiosku, który podekscytowany tłum chciał podpalić i nawet sprzedała "zachomikowane" papierosy.

Był to jeden z cudnych momentów, gdy kawałek papieru stwierdzający, że jesteśmy z redakcji "Poglądów", pisma "S" - pokazany agresywnym przywódcom tłumy - spowodował natychmiastowy cud: tłum rozszedł się w zgodnym poczuciu, że nasza obecność jest już aktem sprawiedliwości nad oskarżaną kioskarką i kioskarka nie została zlinczowana!

Marek Cypryk był z kolei kilka razy proszony o ekspertyzy w sprawie projektów perpetuum mobile, które znosili do MKZ "S" różni nawiedzeni wynalazcy. Jeden z tych projektów był spisany na wielkich arkuszach brązowej tektury.



„Historia 'Poglądów'” is licensed under a [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Unported License](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/) w oparciu o utwór dostępny pod adresem docs.google.com.



Przyszłość Polski - wersja optymistyczna. Ale zależy dla kogo...

Jacek Kwaśniewski

<http://jacek.kwasniewski.eu.org>

Platforma Obywatelska wygrywa piąte i szóste wybory pod rząd. Faktycznie przestaje być partią. Staje się ogólnonarodowym frontem jedności „ludzi myślących rozsądnie o budowie dobrobytu w spokoju i przyjaźni z sąsiadami” (cytat z przemówienia D. Tuska). Donald Tusk jeździ po kraju, rozmawia z prostymi ludźmi, pochyla się nad ich problemami, podtrzymuje na duchu i ruga na oczach kamer ślamazarnych urzędników. Poważnych wewnątrzpartyjnych krytyków usuwa do lukratywnych rad nadzorczych. Mniej poważni po prostu znikają. Rosnąca grupa byłych członków kierownictwa PO dobija się o możliwość komentowania aktualnych wydarzeń u babci Olejnikowej w RTL24 (dawniej TVN24).

W opinii wielu komentatorów, ostatnie wybory Platforma wygrała dzięki kolejnemu poszerzeniu swojej bazy wyborczej. Nastąpiło to w wyniku dwóch transferów: wejściu do PO Marka Jurka i przejęciu prawicowo-katolickiego elektoratu pod hasłem ogłoszenia Polski Chrystusem Narodów oraz wyłuskaniu z Ruchu Odnowy Palikota osoby transseksualnej, Anny Grodzkiej, która pociągnęła za sobą część wyborców Ruchu, obiecując zgłoszenie inicjatywy ustawodawczej o refinansowaniu przez NFZ każdemu chętnemu zabiegowi zmiany płci co cztery lata. Środek Platformy okupują Gowin, Arłukowicz oraz pozyskani dwie kadencje temu Terlikowski i Biedroń. Nieformalnym przywódcą frakcji centrowej jest Grzegorz Schetyna, aktualnie wicepremier, odpowiedzialny za stan trawników przed Kancelarią Premiera.

Prawo i Sprawiedliwość idzie w rozsypkę. Kiedy po kolejnych wyborach Jarosław Kaczyński ogłasza, że utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania (10% elektoratu) stanowi dobrą odskocznnię do przyszłego zwycięstwa, zdesperowani działacze nie czekają na tradycyjne powyborcze dożynki zdrajców. Mimo oczywistej prawdy, że nie ma PiSu bez Jarosława Kaczyńskiego, członkowie Komitetu Politycznego partii wdzierają się do domu prezesa i na oczach jego kota oraz schorowanej matki odłączają go od sztucznego serca, płuca, nerki i odbytu.

Śmierć wielkiego Polaka stawia na porządku dziennym wybór miejsca jego pochówku. Naturalną lokalizacją zdaje się być Wawel, ale z powodu zatłoczenia jedyne wolne miejsce znajduje się w grocie smoka wawelskiego. Kierownictwo PiSu odmawia, chcąc uniknąć możliwego w takim przypadku skojarzenia prezesa z gadem lub zatrutym barankiem. Pada propozycja złożenia doczesnych szczątków Jarosława w sanktuarium na Jasnej Górze i umieszczenia jego portretu w miejscu obecnie zajmowanym przez Czarną Madonnę, którą należałoby przenieść do bocznego ołtarza. Ten pomysł spotyka się jednak z niezrozumiałą i zapewne motywowaną politycznie odmową ojców paulinów.

Impas rozwiązuje inicjatywa ojca Dyrektora. Proponuje on zbudowanie w pobliżu swojej rozgłośni wielkiej piramidy, która stanie się miejscem wiecznego spoczynku Jarosława Kaczyńskiego. Łącząc wiarę z pragmatyzmem, ojciec Dyrektor proponuje, by we wnętrzu piramidy, poza z mumifikowanym ciałem Jarosława i jego kota, otworzył swoje podwoje największy w Europie supermarket z dewocjonaliami. Opór kierownictwa PiSu wobec idei handlowania nad szczątkami świętego męża ustępuje po uzupełnieniu propozycji: dziesięć procent rocznego zysku netto z piramidy ma zasilać kasę partyjną.

Dyrektorem piramidalnej inwestycji zostaje Anna Sobecka, lektorka Radia Maryja i posłanka PiSu, która jeszcze za życia prezesa rozpoczęła starania o jego wyniesienie na ołtarze.

Nowym prezesem PiSu zostaje Antoni Macierewicz, przywódca puczu, w wyniku którego Jarosław Kaczyński stracił życie. Ale i on ginie wkrótce, zgładzony w tajemniczych okolicznościach. Kolejny prezes, Joachim Brudziński, ujawnia na XX Zjeździe partii ponure tajemnice PiSu. Następuje odwilż i nieuchronny po śmierci prezesa i przewidywany przez niego rozpad partii na osiem zwalczających się frakcji i sześć ugrupowań niezależnych. Prawica polska jest w proszku, nie udają się kolejne próby jej scalenia, także mediacja ojca Dyrektora.

Na drugą siłę na polskiej scenie politycznej wyrasta Ruch Odnowy Palikota. Odejście Anny Grodzkiej do PO zostaje zrekomensowane przystąpieniem do Ruchu głośnego celebrytki, Janiny Y. Kowalskiego, osoby transseksualnej dwupłciowej. Janina Y. Kowalski, w wyniku przetargu z PO o zgodę na zmianę Konstytucji (czytaj dalej), zostaje pierwszą na świecie hermafrodytą – przewodniczącym parlamentu. Ułatwia to postawienie na forum publicznym pilnej sprawy legalizacji jednoosobowych związków partnerskich osób dwupłciowych. Janina Y. Kowalski zachodzi bowiem sam(a) ze sobą w ciążę i po urodzeniu dziecka idzie na urlop: wpieryw macierzyński jako Janina Y., a następnie tacierzyński jako Kowalski.

Kolejnym posunięciem zwiększającym bazę wyborczą Ruchu Odnowy Palikota jest koalicja ze stowarzyszeniami obrony praw zwierząt i postawienie na forum Sejmu kwestii legalizacji partnerskich związków sodomickich. Idzie głównie o prawo do odwiedzin w szpitalu i kwestię adopcji. Ustawa o partnerskich związkach bliskogatunkowych wchodzi w życie, stanowiąc modelowe rozwiązanie dla innych krajów Europy i plasując nas w ścisłej elicie nowoczesnych państw świata. Ruch rozpoczyna sondażowe rozmowy na temat przyznania praw wyborczych ssakom naczelnym.

Wszystkie te posunięcia przyciągają do partii rzesze gimnazjalistów i licealistów. Do partii ściągają także fetyszyści, miłośnicy ptaków oraz inni wykluczeni z racji swoich upodobań. Prezes zmuszony jest zaostrzyć kryteria naboru. Pierwszeństwo w przyjęciu do partii mają osoby dwupłciowe oraz jednopłciowe, ale po zmianie płci. W drugiej kolejności przyjmowani są homoseksualiści i lesbijki, o ile potrafią udowodnić, że są nimi przynajmniej od ukończenia gimnazjum. Konwertyci traktowani są ze zrozumiałą podejrzliwością jako koniunkturalni karierowicze. W dalszej kolejności o legitymację partyjną mogą się ubiegać osoby z wymazanymi wyrokami za rozboje, zabójstwa, zbiorowe gwałty i tym podobne wykroczenia. Poza kolejnością przyjmowani są biznesmeni, wygrywający na cobywborczych aukcjach Ruchu czołowe miejsca na listach wyborczych.

Propagując świeckie, nowoczesne i przyjazne obywatelom państwo, Ruch Odnowy Palikota promuje pewne wzorce osobowe. Idealem nowoczesnego Polaka i Europejczyka są byli duchowni po zmianie płci i pozostający w związkach homoseksualnych. Oraz znający języki, jak zawsze podkreśla, mający pewne kompleksy, prezes.

Niespodziewanie dla wszystkich, ulegają ociepleniu stosunki między Ruchem a Radiem Maryja. Po zbudowaniu grobowca Jarosława Kaczyńskiego na terenie rozgłośni, ojciec Dyrektor jest już nie do ruszenia i może pozwolić sobie na realizację swego największego i najszybszego marzenia. Z Tadeusza Rydzika staje się Teodora Rydzik. Siostra Teodora nie rezygnuje z sukienki duchownej i ponieważ zachowuje celibat, redemptoryści mianują ją przeoryszą Radia Maryja. Po przejściowym spadku słuchalności, słuchacze powracają, a siostra Teodora przystępuje do odwiertów mających zapewnić rozgłośni dochody z gazu łupkowego. Zaś Rydzik Zawsze Dziewica staje się przebojową, cobywczorną audycją dla młodych dziewcząt.

Osoby heteroseksualne, które ubiegają się o legitymację członka lub sympatyka Ruchu Odnowy Palikota muszą dostarczyć od proboszcza parafii, na której terenie zamieszkują, szereg zaświadczeń, w tym o regularnym nieprzyjmowaniu księdza chodzącego ze świąteczną kolędą. W przypadku posiadania dzieci, niezbędne jest przeprowadzenie przez komisję parafialną egzaminu z niewiedzy religijnej dziecka i wydania stosownego zaświadczenia. Komisje parafialne zostają także uprawnione do przeprowadzania niezapowiedzianych kontroli mieszkań kandydatów celem weryfikacji oświadczeń o nieposiadaniu krzyża. Kościół przystaje na te propozycje współpracy z Ruchem Palikota, gdyż po odcięciu finansowania przez państwo, liczy się z każdym groszem a zaświadczenia o ateizmie, egzaminy z niewiedzy religijnej oraz kontrole braku symboli religijnych zaczynają stanowić niemałą część dochodów kościelnych.

PSL pozostaje w Sejmie zyskując status mniejszości rolniczej na wzór mniejszości niemieckiej. Gwarantowana dla PSL liczba miejsc jest ruchoma i ma zapewniać tej partii, po każdym wyborach, zdolność koalicyjną z Platformą a Waldemarowi Pawlakowi tekę wicepremiera do spraw zabawek elektronicznych. Będąca w rozsypce prawica nie jest w stanie zablokować stosownych zmian w Konstytucji. Zmiany popiera Ruch Odnowy Palikota w zamian za stanowisko marszałka Sejmu dla hermafrodyty Janiny Y. Kowalskiego. Ciepłe stosunki Ruchu z Radiem Maryja przesądzą o braku mobilizacji jej słuchaczy przeciw temu rozwiązaniu konstytucyjnemu. Próby odwoływania się do

Parlamentu Europejskiego i Trybunału w Strasburgu nie zdają się na nic. Polska od dawna jest najsilniejszą gospodarką europejską i największym płatnikiem netto do kasy UE. Pograżone w permanentnym kryzysie państwa europejskie nie mogą sobie pozwolić na konflikt z Polską, zwłaszcza po odejściu od euro i przyjęciu złotówki za walutę Unii.

W miarę postępującej europeizacji naszego kraju tracą sens stare podziały, w tym zamykanie mniejszości seksualnych w getcie lewicowym a homofobów – na prawicy. Geje Wszechpolscy nie budzą już emocji, a ich koalicja wyborcza z Lesbijkami Polskich Rodzin (LPR), omal nie wprowadziła posłów do Sejmu IX kadencji. Po drugiej stronie dynamicznie rozwija się Tęczowa Homofobia, zwalczająca zawłaszczanie lewicowych symboli przez mniejszości seksualne.

Postępy biotechnologii zaczynają stanowić poważny problem polityczno-kościelny. Inżynieria genetyczna umożliwia nie tylko selekcję zarodków z cechami pożądanymi przez rodziców, ale także znaczne uprawdopodobnienie określonego stosunku przyszłego człowieka do sfery transcendentnej (modyfikacje genu VMAT2). Z początku Kościół zdecydowanie potępia te badania i zabiegi, ale że uwalniają one ludzkość od wielu chorób, konieczny jest szybki kompromis, aby uniknąć kompromitacji. Po roku negocjacji zostaje zawarta w Polsce modelowa umowa, będąca wzorem dla Kościoła Powszechnego na całym świecie. Po stronie rządowej podpisuje ją Ewa Kopacz. Kościół zgadza się na modyfikacje genetyczne zarodków po uzyskaniu gwarancji, że trzydzieści procent z nich będzie w efekcie tych zmian uwarunkowanych pozytywnie do religii i Kościoła, czterdzieści procent nie zostanie w ogóle sztucznie uwarunkowanych, a jedynie trzydzieści procent będzie posiadało modyfikację genową znacznie redukującą wrażliwość na sprawy transcendencji. O jak najwyższą kwotę zarodków z wygaszoną wrażliwością transcendentną zabiegała w czasie negocjacji szeroka koalicja feministek, kobiet oziębłych, ateistów, osób homoseksualnych i agnostyków pod przewodnictwem profesor Magdaleny Środy. Kościół otrzymuje także gwarancję konkordatową, że zbędne zarodki nie zostaną zniszczone, zamrożone ani przekazane przemysłowi kosmetycznemu lecz implantowane kobietom w ubogich krajach Trzeciego Świata, które w zamian na ich urodzenie i wychowanie będą otrzymywać unijną dotację w wysokości 80 centów dziennie. Ustalanie kwot światopoglądowych dla przyszłych populacji zarodków staje się od tej pory przedmiotem powyborczych negocjacji, w których obok partii dostających się do parlamentu biorą udział wszystkie większe organizacje pozarządowe, w tym oczywiście i Kościół katolicki, zainteresowane statutowo takim czy innym stosunkiem człowieka do transcendencji.

SLD wymiera. Na podstawie ustawy o ochronie zagrożonych gatunków, ostatnie sztuki, w tym Grzegorz Napieralski, Leszek Miller i Katarzyna Piekarska zostają wyłapane i przeniesione dla własnego bezpieczeństwa do rezerwatu w Białowieży. Są tam dokarmiane i stanowią turystyczną atrakcję. Szkolna dziatwa rzuca im cukierki, a czasem drażni krzycząc: Kwaśniewski idzie, Kwaśniewski idzie! Stare samce rzucają się wtedy z wściekłością próbując sforsować siatkę. A w mroźne, zimowe noce cała kolonia przedziera się czasem w śniegu do pobliskiego grobu Włodzimierza Cimoszewicza i przejmująco wyje do Księżycy. Ich przeciągłe zawodzenia słychać z daleka. „To z tęsknoty za towarzyszem Edwardem i starymi czasami” – komentują leśnicy. I ze współczucia dosypują trochę więcej karmy do komunistycznych misek.

I na koniec smutna wiadomość. Umiera Adam Michnik. Zaraz po pogrzebie rozpoczynają się starania o jego beatyfikację. Sprzyja temu długa lista cudów politycznych, które dokonały się za jego wstawiennictwem. Agnostycyzm Adama nie powinien być przeszkodą – stwierdza jego przyjaciel i współpracownik, ksiądz Boniecki – gdyż był to agnostycyzm przepełniony głęboką i żarliwą wiarą we własną niesłuszność.

listopad 2011

Prawa autorskie artykułu „Przyszłość Polski - wersja optymistyczna. Ale zależy dla kogo...”, autor Jacek Kwaśniewski, są zastrzeżone. Wszelkie rozpowszechnianie lub powielanie na jakichkolwiek polach dystrybucji wymaga zgody autora. Kontakt z Jackiem Kwaśniewskim pod adresem mailowym: jacek952@gmail.com



O Autorach

Stan wojenny. Jak wybuch granatu, odłamki poleciały daleko, albo zostały na miejscu wbijając się w ziemię. Niektórzy przeszli przez internat, większość go uniknęła. Kalifornia, Nowy Jork, Werona, Warszawa, Łódź. Paweł Jędrzejewski, wtedy polonista-filmoznawca, jest teraz doświadczonym biznesmenem w Los Angeles i autorem książek o judaizmie. Marek Cypryk pozostał w CBMM PAN, tam gdzie znajdowała się pierwsza siedziba redakcji, pracuje naukowo, jest chemikiem, kierownikiem [Pracowni Modelowania Komputerowego](#). Maciek Cypryk, syn Marka, 24 lata, absolwent Politechniki Łódzkiej, pracuje jako doradca w McKinsey & Company w Warszawie. Kasia Modrzejewska, teraz także De Rosso, kulturoznawca, mieszka w Weronie, w wolnych chwilach zajmuje się tłumaczeniami z i na piękny język włoski. Jurek Drygalski, ekonomista, po wyjściu z internatu był wiceministerem przekształceń własnościowych, zajmował się prywatyzacją, a ostatnio poświęcił się biznesowi (Grupa Fasty). Marek Zieliński, również chemik z PANu, pozostał w Nowym Jorku, pracując w nauce, przemyśle i jako niezależny konsultant (Zevax, Inc.), a od 10 lat działa w [Instytucie Piłsudskiego](#) w Ameryce prowadząc digitalizację zbiorów. Małgorzata Kępczyńska jest filozofem, obecnie emerytowanym pracownikiem Uniwersytetu Łódzkiego. Jacek Kwaśniewski, ekonomista, także internowany, zajmował się prywatyzacją w rządzie Mazowieckiego, potem pracował w firmie doradczej BMF, był ekspertem ds. prywatyzacji w Iraku, a obecnie [niezależny doradca i ekspert ekonomiczny](#). Jacek Jordan, historyk, był kustosz Muzeum Sztuki w Łodzi, obecnie nauczyciel liceum w Zduńskiej Woli. Konrad Tatarowski, polonista, internowany, pracownik Uniwersytetu Łódzkiego, Radia Wolna Europa (1984-94), i Polskiego Radia. Maciek Siwicki, polonista, pracuje w bibliotece Politechniki Łódzkiej.

Archiwalne numery "Poglądów" można przeczytać w [Wirtualnej Czytelni Bibuły](#) (<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=WCB0161>)

POGLĄDY

Redaguje zespół: Marek Cypryk, Jerzy Drygalski, Paweł Jędrzejewski, Jacek Jordan, Małgorzata Kępczyńska (obecnie Kępczyńska-Nowaczyk), Jacek Kwaśniewski, Katarzyna Modrzejewska (obecnie Modrzejewska-De Rosso), Maciej Siwicki, Konrad Tatarowski, Marek Zieliński.
Współpraca graficzna (projekt oryginalny): Sławomir Iwański.

Adres redakcji: www.zevax.com/poglady
Składanie numeru zakończono 12 grudnia